Nr. 162. Lwów — Wtorek dnia 19 Lipca. **Rok 18..**

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . . . . 3 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . 4 „

Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do *Przeglądu* przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: Wt. / Jutro: Śr.	św. Wincentego z P. 19 / św. Czesława i Kas. 20	Ftomy Prep. / Prokopija M.	Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*	Wschód słońca o g. 4 m. 25 / Zachód „ „ 7 „ 43	Długość dnia g. 15 m. 18 / Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 18 lipca.

Ogłoszono w całej Hiszpanii mały stan oblężenia, to znaczy, zawieszono prawo odbywania zgromadzeń, zniesiono swobodę prasy, tajemnicę listów i nietykalność mieszkań prywatnych, w których w warunkach zwyczajnych policya nie może dokonywać rewizyi bez upoważnienia sądowego. Konstytucya hiszpańska, ułożona w r. 1869-ym przez republikanów, upoważnia władzę wykonawczą do zarządzania podobnych środków bezpieczeństwa. Jakoż prezydent krótkotrwałej republiki hiszpańskiej Emil Castelar zaprowadził był w r. 1873-im stan oblężenia, aby łatwiej zwalczyć ruch karlistowski, wszelako wówczas zażądał od kortezów specyalnego potwierdzenia, iż sytuacya wymaga użycia takich wyjątkowych środków. Teraz takiego potwierdzenia nie żądał Sagasta od parlamentu i w tem jest jedyna różnica między zarządzeniem republikańskiem w r. 1873 cim a teraźniejszem rządu monarchicznego. Jak wówczas, tak i teraz powód zaprowadzenia małego stanu oblężenia jest ten sam: agitacya karlistowska, która teraz zaczyna występować coraz silniej, jako ruch protestujący przeciw pokojowi ze Stanami Zjednoczonymi na warunkach upokarzających.

Hiszpania musi dążyć do pokoju, bo straciwszy niemal całą flotę wojenną, jest odcięta od swych kolonij i obronić ich nie może, choćby jeszcze długo toczyła kampanię. Wprawdzie na Kubie posiada ona armię jenerała Blanco, liczącą podobno przeszło sto tysięcy żołnierzy, ale ten korpus, nie zasilany z Hiszpanii ludźmi, bronią i żywnością, wcześniej czy później będzie wykruszony przez amerykańską siłę, która się rozwija coraz okazalej. Sytuacyę można krótko określić słowami: straciwszy flotę, a więc swój łącznik z koloniami, Hiszpania właściwie już straciła te kolonie. Chodzi tylko o to, jakie mianowicie kolonie: czy zgoła wszystkie, czy też jeno niektóre? Dziś chwila jest taka, że Stany Zjednoczone muszą być wstrzemięźliwe. Na Kubie i Portorico zaczęła się zabójcza pora ustawicznych deszczów, panowania śmiertelnej febry żółtej i „vomito negro“; od tych zaraźliwych chorób biali żołnierze mrą jak muchy i do żadnych działań wojennych nie są zdolni. Musi tedy nastąpić przerwa w kampanii i potrwać do października, a tymczasem każdy dzień wojny kosztuje Stany dwa miliony dolarów i może kosztować życia niezliczonego mnóstwa ludzi. Na porę deszczową z jej żółtą febrą czekała Hiszpania, jako na potężnego sojusznika, który nareszcie przybył, ale już nie przedstawia żadnej wartości, ponieważ tymczasem przepadła flota Cervery, a innej nie ma, bo eskadry Camary liczyć nie warto. Więc Stany, skrępowane porą deszczową, dość łatwo przystaną na pokój. Żądają one teraz Kuby, bo o nią toczy się wojna, i Portorica, jako wynagrodzenia kosztów kampanii, a nadto — i to warunkowo — jednego portu na wyspach Kanaryjskich, pod któremi już podobno pojawiły się trzy amerykańskie okręty. Tego portu na wyspach Kanaryjskich rząd waszyngtoński podobno się wyrzeknie, jeżeli Hiszpania prędko zgodzi się na pokój. Obstaje on tylko bezwarunkowo przy zaborze Kuby i Portorica, ponieważ jest niezmienną, wynikającą z doktryny Monroego dążnością Stanów do usunięcia z Ameryki posiadłości państw europejskich. A zatem, dziś Hiszpania może okupić pokój utratą tylko Kuby i Portorica, natomiast, jeżeli wojna potrwa i przetrwa porę deszczową, to Amerykanie zażądają jeszcze wysp Filipińskich i Złodziejskich, a obronić tych posiadłości Hiszpania nie zdoła, bo już nie ma floty i nie stworzy jej prędzej, jak za lat kilka. W Madrycie już się podobno wszyscy pogodzili z myślą o utracie Kuby, która nigdy nie dawała metropolii zysków, a zawsze dużo kosztowała, nadto zaś teraz po części, mianowicie w Sant Jago, już jest zdobyta przez Amerykanów. Lecz z utratą Portorica trudno się Hiszpanom pogodzić, ponieważ ta wyspa jest niemal wyłącznie zaludniona przez białych, a znajduje się w stanie kwitnącym i daje metropolii sute dochody. Jednak nieubłagana konieczność zmusza rząd madrycki do pogodzenia się z myślą o utracie Portorica. Na pomoc państw europejskich już on przestał liczyć, co najwięcej może się spodziewać pośrednictwa Anglii, która wprawdzie nie chce zrobić żadnej przykrości Stanom, ale ze względu na sąsiedztwo swoich kolonij gorąco pragnie zakończenia tej wojny.

Aby umożliwić rokowania o pokój, choćby połączony z utratą Portorica, rząd madrycki zaprowadził mały stan oblężenia, gdyż w ten sposób spodziewa się zapobiedz zaburzeniom, które mogą być wywołane przez karlistów i przez republikanów, czekających sposobności do obalenia dynastyi. Z Madrytu donoszą, że zapewne nie skończy się na stanie oblężenia, lecz trzeba jeszcze będzie ogłosić dyktaturę wojenną jenerała Polavieja, lub marszałka Camposa.

Dreyfusyada znowu, niby orkan, huczy nad Francyą. Po znanem a energicznem oświadczeniu nowego ministra wojny p. Cavaignaca, że wina Dreyfusa jest niewątpliwa, wymierzona mu kara słuszna i że „armia, będąca dumą Francyi, a podstawą jej znaczenia, jest silna zaufaniem kraju i przeświadczeniem o prawości swych czynów“ izba deputowanych olbrzymią większością 572 głosów przeciwko dwóm wyraziła zaufanie nowemu gabinetowi Brissona, dała mu niejako prawo do rządzenia państwem. Gabinet ten, powitany oziębłe, uważany zrazu za efemeryczny, stał się nagle po tej mowie Cavaignaca poważanym, bo przyniósł narodowi uspokojenie, zapewnił go, że się nie wznowi skandal dreyfusowski. Owacya, urządzona panom Faure i Cavaignac na polu Marsowem 14 lipca, w dzień „święta narodowego“, gdzie z zapałem wołano: „niech żyje armia! precz z Zolą! precz z Dreyfusami!“ dowiodła wyraźnie, że opinię izby deputowanych podziela publiczność. Ale syndykat dreyfusowski i tym razem nie dał za wygranę: dzienniki jego rozwinęły hałaśliwą agitacyę za rewizyą procesu, wskazując na niektóre sprzeczności w zeznaniach różnych świadków, jak gdyby jakiekolwiek ustawodawstwo wymagało do osądzenia sprawy całkowitej zgodności świadków. Zeznania tak poważnych ludzi, jak jenerałowie Billot i Boisdeffre, jak panowie Méline i Cavaignac uznały te dzienniki za nic niewarte, ponieważ pułkownik Picquart zeznał inaczej niż oni. W imię tedy idealnej dokładności zażądały one rewizyi procesu, zapominając, że często *summum ius* sprowadza na naród, cierpiący w skutek ustawicznych skandalów, *summam iniuriam.*

Dziwne to jest, ale we Francyi prawdziwe, że od podobnych skandalów zależy polityka i los gabinetów. Nie mogą one rozwinąć żadnej pożytecznej dla kraju działalności, dopóki w zawieszeniu trwa jakiś skandal. Awantura panamska obaliła kilka gabinetów; rząd pana Méline upadł tylko dlatego, że przez dwa lata opierał się rewizyi procesu Dreyfusa; gabinet Brissona mógł powstać jedynie dlatego, że rewizyoniści byli pewni, iż on wznowi proces, a gdy się zawiedli, wnet rozwinęli przeciwko niemu burzliwą agitacyę. Zdawać się może, jakoby hasłem ich jest: „Niech wszystko ginie, i republika, i Francya, byle z wyspy Dyabelskiej wrócił Dreyfus!“

W swem zacietrzewieniu nie pojęli znaczenia parlamentarnej uchwały po mowie Cavaignaca, ani owacyi na polu Marsowem; nie zrozumieli, że naród nie chce już nic słyszeć o dreyfusyadzie, jak ognia boi się rewizyi procesu, przesycił się skandalami i ze wstrętem myśli o wznawianiu ich.

Agitacyą dziennikarską łatwo roznamiętnić naród i nawet wbrew jego woli popchnąć go, gdzie się chce. Zepsuta — powiedzmy wyraz właściwy — spodlona prasa paryska, stojąca na żołdzie aferzystów, już nieraz w ten sposób sprowadzała na bezdroża opinię publiczną. Sądziła, że i teraz uczyni to samo.

Lecz gabinet Brissona jest radykalnym, to jest takim, który wie, co warta opinia takich dzienników, bo sam ich używał. A nadto w tym gabinecie zasiada Cavaignac, człowiek szanowany za pracowitość i energię, a znany z bezwzględności. On się nie bał poruszyć gniazda dreyfusowskiego, powiedzieć to, czego ze względów dyplomatycznych nie chciał wyrzec p. Méline po znanem oświadczeniu p. Bülowa w parlamencie berlińskim, iż niemiecki pełnomocnik wojskowy Schwarzkoppen nie miał żadnych z Dreyfusem stosunków, — mianowicie nie zawahał się Cavaignac oświadczyć, że ów Dreyfus nawet sam się przyznał do zdrady, popełnionej przez dostarczanie tajnych dokumentów wojskowych dwóm zagranicznym mocarstwom. A kiedy pomimo tego syndykat dreyfusowski, zapewne licząc na dyplomatyczną dyskrecyę gabinetu, zażądał przez swe dzienniki od Cavaignaca niezbitych dowodów na wszystko, co powiedział, a więc w gruncie rzeczy znowuż rewizyi procesu, natenczas rząd rozwinął akcyę przeciw samemu syndykatowi dreyfusowskiemu, mianowicie zaaresztował Picquarta i adwokata jego Leblois, pokazawszy tem odrazu, że wie kto i jak intryguje, jakimi rozporządza środkami i do czego zmierza.

Już Méline groził, że w ostateczności rząd wystąpi przeciw intrygantom, lecz uczynić to wypadło nowemu gabinetowi i to właśnie temu, który podług mniemania syndykatu dreyfusowskiego miał wznowić proces, ponieważ Brisson, dopóki był w opozycyi, domagał się tego. Tak-to ze stanowiska ministeryalnego rzeczy inaczej się przedstawiają, niż z opozycyjnego.

Dalsze konferencye. — Sofizmata. — Praga. — Artykuł „Fremdenblattu“.

Piszą nam z Wiednia, 17 lipca:

Pojutrze hr. Thun swe propozycye przedłoży delegatom niemieckiego stronnictwa katolickiego. Jest to wiadomość nadzwyczaj ważna. Świadczy ona bowiem, że rząd nie uważa rzeczy jako skończonej, jakby można wnosić z dzisiejszego posępnego artykułu wstępnego *Fremdenblattu*, i że też bardzo gorliwy obrońca omladińców dr. Stránsky swoje sofizmata o § 14-tym wygłaszał z własnego popędu, nie w imieniu rządu. Otwarcie mówiąc, dziwiło nas, że podczas ostatnich konferencyi nic nie słyszano o katolickiem stronnictwie niemieckiem. Bez głosów tego stronnictwa nie ma większości. Z drugiej strony stronnictwo to, jako niemieckie, swem votum może wywrzeć pewien wpływ moralny także na obóz niemiecki, zwłaszcza na jego umiarkowane skrzydło. Hr. Thun z początku pragnął o tyle zlokalizować zatarg niemiecko-czeski, aby w konferencyi brali udział wyłącznie mężowie zaufania Czechów i Niemców z Czech i Morawii. Skoro ten zamiar okazał się niewykonalnym, i skoro zasady rządowe zostały zakomunikowane także parlamentarnej komisyi Koła polskiego, rzecz logiczna, że zaproszono na konferencye delegatów katolickiego stronnictwa niemieckiego. Można być pewnym, że oni propozycye rządowe osądzą *sine ira et studio*, nie wyłącznie z niemieckiego punktu widzenia, lecz z wyższego obserwatorium sprawiedliwości i interesu państwowego.

Co dotyczy artykułu dr. Stránsky'ego w *Lidowych Nowinach*, jest on stekiem trywialnych sofizmatów. § 14 wprawdzie umożebnia rządowi załatwiać sprawy bieżące za pomocą rozporządzeń, ale żadną miarą nie upoważnia go do przeprowadzenia zmian konstytucyi. Ciekawe w każdym razie są te umizgi młodoczechów do Węgrów, w danym razie do Banffy'ego, który ma wziąć pod swą opiekę § 14 byle utrzymały się fatalne rozporządzenia językowe! Umizgi p. Stránsky'ego tak samo będą daremne, jak dyskusya pomiędzy p. Kramarzem a Langiem. Węgrzy młodoczechów uważają jako swych zaciętych nieprzyjaciół, jako panslawistów, dążących do zupełnego przewrotu historycznych stosunków w Węgrzech. Świeżo to zdanie utwierdziły różne wynurzenia *Narodnich listów* po praskich uroczystościach, na tle przemów gości słowackich i radykalnych chorwackich. Przed kilkunastu laty Maurycy Jokaj powiedział waszemu korespodentowi, że jedynie ze względu na Polaków, których uważają jako swych dawnych i szczerych przyjaciół, Węgrzy wstrzymują się od interwencyi przeciwko gabinetowi Taaffego. I dziś, jeżeli p. Banffy nie powtarza taktyki, której w r. 1871 Andrassy użył w obec „artykułów fundamentalnych“, to wstrzymuje go od tego jedynie wzgląd na Polaków, nie zaś proza pp. Kramarza i Stránsky'ego. Młodoczesi z sojuszu z Polakami ciągną ogromne korzyści. Jakie z niego ciągną Polacy, tego dotąd nie możemy się dopatrzeć ani mikroskopem.

Na podstawie zapewnienia jednego z uczestników ostatnich konferencyi *Bohemia* utrzymuje, że nie prawda, aby hr. Thun na uwagę jednego z delegatów niemieckich: „A więc Praga ma być uważana jako miasto czeskie!“ — odpowiedział „Allerdings“, jak doniosły niektóre dzienniki tutejsze. Zastrzeżenia więc nasze w tej kwestyi okazały się słusznemi.

Artykuł dzisiejszy *Fremdenblattu* słusznie podnosi konieczność uporządkowania kwestyi językowej w Czechach w drodze ustawodawczej. Konieczność tę uznał już hr. Taaffe w r. 1890 i dlatego przyprowadził do skutku znaną styczniową ugodę, która była najmędrszym aktem staroczechów, a którą zwichnęła agitacya młodoczeska. Już w ostatnich latach rządów Taaffego rzeczy w Czechach zaszły tak daleko, że bez rozwiązania zatargu w drodze ustawodawczej groził chaos. Dziś ta konieczność zaznacza się o wiele dobitniej. To też hr. Thun zapewne nie ulęknie się żadnych przeszkód, lecz wytrwale dążyć będzie do tego celu. Ale też w tem *Fremdenblatt* ma racyę, że w tej chwili sytuacya przedstawia się w ponurem świetle. Tylko, że prawdziwych mężów stanu trudności nie odstraszają; im większe trudności, tem większa będzie zasługa, jeżeli się uda zapanować nad niemi.

Sytuacya w Galicyi.

Pod tytułem „Die Lage in Galizien“ zamieszcza *Politische Correspondenz* artykuł, który podajemy w dosłownem tłómaczeniu, z powodu, że artykuł ten doskonale i wszechstronnie wyjaśnia motywa, które kierowały rządem przy wprowadzeniu stanu wyjątkowego, a z drugiej strony pokazuje, że rząd nie uważa stanu wyjątkowego za chwilowy paliatyw, lecz świadom jest celu, jaki osiągnąć można tą drogą postępując konsekwentnie, rozumnie i energicznie. Artykuł poważnego i wysoce oficyalnego dziennika wiedeńskiego opiewa jak następuje:

„Omawiając sytuacyę tak w dwóch zachodnio-galicyjskich powiatach, dotkniętych sądami doraźnymi, jak i w tych, w których zaprowadzono stan wyjątkowy, należy przedewszystkiem stwierdzić z całą stanowczością, że według tego, co już wykazało ścisłe dochodzenie, zbrodnicze czyny włościańskich ekscedentów ograniczyły się wszędzie tylko na niszczeniu własności żydowskiej, natomiast nikt z żydów nie stracił życia, ani też w ogóle nie znalazł się w położeniu zagrażającem życiu. Obok tego śledztwo wykazało, iż szkody materyalne, wyrządzone podczas paniki, a które poszkodowani żydzi taksowali na ogromne sumy, w rzeczywistości znacznie są mniejsze.

I dzisiaj jeszcze ma wielkie znaczenie dokładne wykazanie przyczyn owych, godnych pożałowania ekscesów, albowiem z należytem poznaniem istotnego stanu rzeczy pozostaje w jak najściślejszym związku kwestya, kiedy mógłby być zniesiony, zaprowadzony w 33 powiatach stan wyjątkowy, który w każdym razie zostanie utrzymanym dłużej, niż ogłoszone w dwóch tylko powiatach zaprowadzenie sądów doraźnych, będące lokalnem zarządzeniem charakteru czysto represyjnego.

W tej mierze należy w pierwszym rzędzie podnieść, że wysuwane zazwyczaj na plan pierwszy, i to słusznie, takie motywa wzburzenia, jak brak oświaty wśród wiejskiego ludu w Galicyi i krytyczne jego położenie ekonomiczne, które, mówiąc nawiasem, ma wielokrotnie swoje źródło nie tylko w ogólnem ekonomicznem przesileniu, lecz także, i to w niemałej mierze, w lichwie, jaką ciągle jeszcze uprawiają po wsiach bezkarnie żydzi pod najrozmaitszymi tytułami; otóż, takie motywa muszą wprawdzie wiele wyjaśnić, nie dozwalają jednak zrozumieć należycie owego nieokiełzanego, gwałtownego wybuchu namiętności, choćby się nawet wzięło na uwagę taki objaw, jak rozszerzanie się we wszystkich krajach antysemityzmu.

W istocie też, powyżej przytoczone okoliczności wytworzyły w ostatnim czasie doskonały grunt, na którym krzewiła się przewrotna propaganda w sposób nadzwyczaj ruchliwy i niestety ze skutkiem, którego zaprzeczyć niepodobna, szerzona słowem i drukiem, na zgromadzeniach wybrczych i ludowych, oraz w popularnych czasopismach. Karygodne usiłowania tej propagandy, którym w niektórych, zwłaszcza zaś w zachodnich powiatach Galicyi, już od dłuższego czasu towarzyszą także smutne następstwa, zdają się do tego tylko zmierzać ażeby w niezadowolony lud wpajać nienawiść i pogardę przeciw rozmaitym warstwom społecznym, jako domniemanym sprawcom lub współwinnym smutnego położenia ludu i rzekomego pokrzywdzenia go w kierunku politycznym, — aby dalej podkopywać powagę władz, oraz wszystkich czynników społecznego i państwowego porządku jako tych, którzy osłaniają urządzenia ustawowe, wychodzące rzekomo na korzyść wyłącznie tylko klas panujących — i w końcu, aby wśród zbłąkanych w ten sposób, a przez rozbudzenie nieznających granic nadziei i pożądań uwiedzionych mas ludu wzbudzić podejrzenie, jakoby masy ludowe potrzebowały tylko okazać w sposób dobitny wskrzeszoną świadomość należnych im, a dotąd nieprzyznawanych praw, by niezwłocznie położenie ich z pewnością się polepszyło. Otóż zaprowadzony w 33 zachodnio-galicyjskich powiatach stan wyjątkowy ma propagandę tę zwalczać energicznie wszystkimi ustawowymi środkami, a przywrócić trwałe, na stałej podstawie, uspokojenie wzburzonych i zbłąkanych umysłów wśród ludu, względnie zaś stworzyć niewzruszoną na przyszłość podstawę dalszego kulturnego postępu.

Wobec tego stanu rzeczy zrozumiałem jest, że dotknięte głównie temi zarządzeniami żywioły, widząc, iż ich karygodne usiłowania ubezwładniono i pozbawiono wszystkich zdobytych dotychczas rezultatów przewrotnej działalności, podnoszą obecnie skargę na rząd o ukrócenie ustawowych praw drogą stanu wyjątkowego, której ze względów formalnych nic zarzucić nie można. W kołach inteligentnych i dbałych o dobro kraju skargi te nie wzbudzą z pewnością współczucia, gdyż uznały owe koła słuszność tych zarządzeń. Namiestnikowi zaś, hr. Pinińskiemu, któremu już przy obejmowaniu urzędu towarzyszyło pełne sympatyi zaufanie, wyrażają te koła teraz wdzięczność i uznanie za jego energiczne i skuteczne wystąpienie w sprawie stłumienia i ograniczenia zaszłych w kraju zaburzeń“.

---

2)

Odwiedziny Polaków w Bośni.

(Ciąg dalszy).

Po trzygodzinnej jeździe stanęliśmy u celu drogi: w polskiej kolonii. Siedm pagórków koniczynych łączy się ze sobą falistym gruntem. Gdzie okiem rzucę, widzę pniaki ściętych dębów, tylko gdzieniegdzie pozostały starsze drzewa, zresztą leszczyna, tarnina, graby i buczyna młoda. Na pagórkach rozrzucone i od siebie oddalone domy, mało który wykończony, w znacznej części dopiero rozpoczęte, lub szałasy z chrustu, w których się gnieździ świeżo przybyła rodzina kolonisty. Najstarsi przybyli tu przed dwoma laty, znaczna część dopiero od roku lub kilku miesięcy. Dwadzieścia i dwie rodzin otrzymało od rządu grunta bezpłatnie; reszta, prawie drugie tyle, wyczekuje zmiłowania ze Sarajewa. Rząd ma do dyspozycyi mnóstwo gruntów, które dotychczas służyły za pastwiska komukolwiek. Są więc pewne trudności w usunięciu pretensyi dawnych okolicznych właścicieli, sąsiadów owych gruntów. Dla wyjaśnienia sytuacyi dodać muszę że zarówno Turcy, t. j. bośniaccy muzułmanie, jak Serbowie, t. j. bośniaccy schizmatycy, zwyczajnie nie mają żadnych stajen ani obory. Stada bydła, koni i trzody przez cały rok znajdują się w otwartem polu, gospodarz nie troszczy się wcale o jego chów, co będzie jadło, gdzie nocowało wśród słoty lub zimna. Czasami, gdy wielkie śniegi spadną i bydło lub konie nie mogą odgrzebać liści, resztek zeschłej trawy lub ścierniska, właściciel podrzuca im trochę słomy, aby nie zginęły z głodu. Zresztą wszystko włóczy się samopas po okolicznych lasach krzakach i polach, wyjadając jak szarańcza, co spotka na drodze. Wskutek tego zwyczaju, czy nadużycia — nie wiem, jak nazwać — nikt tu oziminy nie sieje, a na wiosnę gdy chce zasiać na kawałku gruntu kukurudzę lub owies, okala go płotem, aby go ochronić od trzody i bydła. Stąd pretensye, jeśli rząd zamyka pastwiska na swoich gruntach lub na oddanych kolonistom, mającym zwyczaj siać oziminę i nie oddawać gruntu na pastwę cudzego bydła. Zanim więc te pretensye i im podobne nie zostaną usunięte, grunta rządowe leżą odłogiem i wyglądają jak dżungle indyjskie lub z głębin Afryki, znane nam z rycin lub fotografii.

Część takich dżungli, oczyszczonych z sąsiedzkich pretensyj, otrzymali koloniści w Celinowaczu. Każda rodzina posiada 12 do 18 morgów.

Na dany znak kołatką, zawieszoną na drzewie, zbiegli się nasi rodacy. Trudno opisać ich radość, łączącą się z płaczem, na widok polskiego kapłana — na wieść, że ich przyjechałem wyspowiadać, pocieszyć, dzieci przygotować do pierwszej spowiedzi. „Zostańcie z nami na zawsze — wołali biedacy — umieramy bez księdza!“ Gromadnie stanęliśmy przed maleńką drewnianą kapliczką, jakby altanką z desek. Tu po raz pierwszy do nich przemówiłem o celu mego przybycia i porządku misyi. Ponieważ głębokie wody nie pozwalały na gromadne przybycie tutejszych kolonistów do parafialnego kościoła w Windhorście, więc ułożyłem się z nimi, że najpierw zaopatrzę potrzeby duchowne Polaków z kolonii niemieckiej, następnie do nich przybędę. Tymczasem kazałem zebrać dziatwę do obszerniejszego ciepłego mieszkania i zapowiedziałem dla nich naukę po obiedzie, na jaki mnie zaprosił kneź kolonii Grzegorz Papik, Bukowińczyk z okolic Gura-humory. Poczciwa gosposia, knezini, jak umiała i co miała najlepszego, zastawiła na stole, a na deser podała słodkie mleko!...

Po uczcie zabrałem się do katechizowania dzieci, przyczem udział brali także ich rodzice. Nawiedziłem jeszcze parę domów, niosąc słowa pociechy strapionym i chorym — a iluż tu chorych na febrę, dzieci od niej wyżółkłych, jak cytryna! Nie zapomnę wizyty u biednej niewiasty, której mąż gdzieś daleko poszedł za zarobkiem, a ona pozostała z dwojgiem dzieci, drżała na całem ciele, gorączkując od febry, wyschła, z zapadłemi oczyma, bliska śmierci, bez żadnej nad sobą opieki, bez żadnego lekarstwa! Do apteki parę mil drogi, lekarza w okolicy nie ma. Pragnęła się wyspowiadać, aby przynajmniej być spokojną, gdy śmierć zawita w progi jej domu.

Słońce zbliżało się ku zachodowi, gdy opuszczałem kolonię. Już noc zapadła, gdy stanąłem w Windhorście.

Nazajutrz czuję, że głos zachrypnięty i ledwie mogę go z piersi wydobyć — a tu dopiero początek pracy! Przekonałem się, że w podobnych wypadkach nie wiele trzeba na siebie uważać, a więcej mieć ufności w pomoc Bożą. Zachrypniętym głosem przed i po mszy dwie nauki powiedziałem do licznie zgromadzonych Polaków w parafialnym windhorstowskim kościele, przygotowałem ich do spowiedzi, która miała się zaraz rozpocząć popołudniu. Kilka szklanek herbaty, mej nieodstępnej towarzyszki w ciągu całej podróży, usunęło chrypę i ze spokojem o zdrowie mogłem słuchać spowiedzi z małą przerwą do godziny 12 w nocy. Po krótkim spoczynku i wczesnej mszy św. znowu miałem naukę i słuchałem spowiedzi do południa, a garnęli się do niej nietylko Polacy, ale i Niemcy, nawet Bośniacy. Wielką radość sprawiły naszym rodakom książki polskie, jakie rozdzieliłem między wszystkich, umiejących czytać, a nadto dziełka kilkotomowe lub większe i droższe pozostawiłem dla wspólnej polskiej biblioteczki. Znalazł się między nimi zacny gospodarz, który dom swój otworzył na polskie zebrania, gdzie ci nawet będą mogli korzystać z książek, co czytać nie umieją, bo w niedziele i święta odbywa się u niego obecnie głośne czytanie. Umie on i polskie pieśni zanucić i chórem kierować, gdy potrzeba zachodzi.

Zakończywszy prace około Polaków w Windhorście, zaraz tegoż dnia (10 marca) wyjechałem po południu znaną już drogą po wodach i błotach do Celinowacza. Lud wyszedł naprzeciw. Zgromadziliśmy się w umówionej izbie jednego z kolonistów, gdzie zaraz przemówiłem do zebranych dzieci, tak aby i starsi obecni mogli się przygotować do sakramentu pokuty. Po nauce, ponieważ już się ściemniało, odesłałem dzieci i niewiasty do domów, a mężczyzn zatrzymałem, którzy byli już przygotowani do spowiedzi św. Czas z nimi zeszedł mi do północy. Na nocleg wyznaczono mi jedną z najlepszych izb, jakie się znajdowały w kolonii. Pomimo tego niesłychane było zimno, zwłaszcza, że mróz wziął na noc, a ściany mej sypialni tak były filigranowe, że mogłem przez szpary doskonale powtarzać sobie ćwiczenia astronomiczne, jakim się przed laty oddawałem w Rzymie. Nad rankiem nieco zasnąłem, lecz silne pukanie do drzwi przypomniało mi, że całe zastępy czekają na spowiedź. Dziwnie Pan Bóg w takich razach pomaga. Prawie wcale nie czułem znużenia, gdy od 5 rano słuchałem spowiedzi do 11 w południe bez przerwy, następnie mszę św. miałem z kazaniem, zastosowanem do okoliczności. Lud nie płakał lecz ryczał, tak, że w końcu i mnie z oczu łzy się polały, choć nie jestem skłonny do ich wylewania. Wszyscy słabsi: przedewszystkiem dzieci, niewiasty i starcy najpierw się spowiadali i przystąpili podczas Mszy św. do Komunii św. Silniejsi mężczyźni musieli czekać ze spowiedzią do popołudnia, a potem dalej ze mną wyruszyć. Słońce około południa zajaśniało, więc mój konfesyonał urządziłem pod starym dębem wśród lasu, i słuchałem spowiedzi, dopokąd konie nie zajechały, aby mię odwieść do trzeciej kolonii polskiej Milewać nazwanej. Lecz przedtem należało pokrzepić swe siły. Zaproszono na obiad. Menu było następujące: zacierka na mleku, pierogi z serem, ser z chlebem, a na deser gorące mleko z masłem! Co mogłem, jadłem, apetyt i poczciwe serca moich gospodarzy najlepszą ze wszystkich były przyprawą.

Na odjezdnem rozdałem między kolonistów polskich książki i zawiadomiłem ich, że wobec świadków złożyłem w ręce proboszcza na budowę ich kaplicy około 300 złr. Radość była niesłychana. Skorzystałem z tej chwili, aby wsiąść na wózek i uciec przed lamentami poczciwych ludzi, że już ich opuszczam.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Anglik o Polsce.

(*The Story of the Nations Poland, by W. R. Morfill M. A. London. T. Fisher Unwin*).

Wpadł mi niedawno w ręce katalog firmy wydawniczej angielskiej dotąd mi nieznanej. Przerzucając go, natrafiłem na seryę publikacyi pod tytułem: „The Story of the Nations", czyli „Opowieść o narodach", a pomiędzy niemi pod numerem 33, znalazłem „Poland": Polska. Przyzwyczailiśmy się do tego, że ze wszech prawie stron przeciw temu co polskie i publicystyka i inne gałęzie literatury występują wrogo; fakta historyczne bywają w najbezczelniejszy sposób przekręcane, aby je obrócić na niekorzyść Polaków, a chyba do wyjątków, i to rzadkich, należą w prasie zagranicznej głosy uczciwe i sprawiedliwe, tam gdzie chodzi o imię i o sprawy polskie.

Z ciekawości pospieszyłem zaraz tę książkę zapisać, a przygotowany byłem na to, że znajdę albo niecne napaści, albo w najlepszym razie mnóstwo błędów i niedokładności, chociażby już nie umyślnych, ze złej wiary, a tylko z ignorancyi pochodzących, jakiemi celują traktujące o sprawach polskich dzieła cudzoziemskie, a szczególnie francuskie.

Zaledwie książkę otworzyłem, przekonanie to jeszcze siły nabrało, bo na tytułowej karcie wyczytałem, że autor p. W. R. Morfill jest prelegentem rosyjskiego i innych słowiańskich języków na uniwersytecie Oxfordzkim, więc pomyślałem, że oczywiście musiał czerpać z dzieł rosyjskich materyały do historyi polskiej; to też ona pięknie musi wyglądać!

Już z kilku słów przedmowy zobaczyłem z przyjemnością, żem się w moich przypuszczeniach pomylił.

„Napisałem — mówi autor — tę książeczkę o Polsce w celu podania łatwej do czytania historyi tego narodu, podnosząc najważniejsze epizody, i wybitne charakterystyczne rysy, a usuwając na drugi plan szczegóły, które mi się wydały mniej zajmującymi. Zarazem jednak nigdy nie straciłem z oczu wątku dziejów, a dodać muszę, że w tem dziele opierałem się tylko na źródłach oryginalnych i rodzimych. Próbowałem też szczegółowo wymienić rozmaite etnologiczne żywioły zamieszkujące obszar dawnych ziem polskich, a dla tych, którzyby chcieli dokładniej badać historyę Polski, dodałem spis źródeł, z których mogą czerpać. Dzieło moje nie ma celu politycznego, nie jest wcale „tendenziös" — jak mówią Niemcy — opowiedziałem tylko dzieje Polski — bardzo tragiczne — i nigdzie z umysłu prawdy nie przekręciłem, ani nie zataiłem.

„Podałem powody, które jak mi się zdaje, sprowadziły upadek tego potężnego niegdyś państwa, a jakkolwiek starałem się wywiązać z zadania uczciwego historyka, nie chciałem być anatomem, krającym z zimną krwią nieszczęśliwy ten naród, którego części, choć rozszarpane, tętnią jeszcze pełnem życiem.

„Jednakże historyk nie powinien być politycznym adwokatem, im mniej takich usiłowań, tem lepszą prawdopodobnie będzie historya".

„Pozwalam sobie mieć nadzieję, że rozdział o literaturze rozbudzi może zajęcie się językiem polskim, którym mówi przecież dziś przeszło 10 milionów. Ktokolwiek obezna się z literaturą polską, musi gorącą uczuć sympatyę do tego narodu, tak zajmującego i nieszczęśliwego".

Po tej przedmowie następuje słowniczek wymowy niektórych czysto polskich brzmień jak np.: ą, ę, cz itd. uwydatnionej za pomocą angielskiego lub francuskiego języka, bo wszystkie nazwiska tak osób jak i miejscowości, podane są w oryginalnej pisowni polskiej i to zupełnie poprawnej. Książka zaczyna się krótkim, bardzo zwięzłym opisem geograficznym kraju podług województw; następuje etnograficzny spis szczepów zamieszkujących obszar dawnej Polski, potem dzieje przedhistoryczne itd.

Epoka Piastowska traktowana jest dość pobieżnie, za to Jagiellonom autor więcej poświęca miejsca; w szczególności zaś obydwom Zygmuntom.

Po bardzo sympatycznym ustępie o Stefanie Batorym, autor, o ile w dziełku tak małych rozmiarów możliwe, stara się jak najdokładniej przedstawić sprawy dyssydentów i unii kościelnej z Rusią. Opowiadanie ściśle historyczne, przeplatane też jest lżejszemi anegdotycznemi wspomnieniami n. p. o przyjęciu poselstwa polskiego przybyłego do Paryża dla ofiarowania korony Henrykowi Walezemu; wyjątkami z współczesnych pamiętników n. p. pani Guébriant o właściwościach kuchni polskiej, itd.

„Pacta conventa", przetłumaczone bardzo wiernie, zupełnie szczegółowo są podane, i im równie, jak i „liberum veto" autor przypisuje z naciskiem osłabienie wewnętrznego organizmu państwowego, bezsilność na zewnątrz, a w dalszem następstwie upadek Polski.

Cały jeden rozdział poświęcony jest panowaniu króla Jana III i odsieczy Wiednia.

Surowa krytyka dostała się panowaniu obydwóch Augustów Saskich, oraz Stanisława Augusta Poniatowskiego, z wyjątkiem konstytucyi 3 maja.

Konfederacyę Barską i działalność Kościuszki przedstawia autor z prawdziwym entuzyazmem.

Dzieje porozbiorowe również przedstawione są uczciwie i bezstronnie, a ze szczerem oburzeniem brutalne represye ze strony rządu rosyjskiego po powstaniach 1831 i 1863 roku.

Po tym szkicu historyi Polski, następuje zarys dziejów literatury, dziwnie sumiennie i troskliwie opracowany, bo mieszczący się na 58 stronicach w ósemce, a przytem wcale dokładny. Nic też dziwnego, że prelegent literatur słowiańskich, jedną z nich opracował „con amore".

Nie pominął ani jednego z dawnych kronikarzy, którzy pisali po łacinie, a pomniki literatury polskiej rozpoczyna oczywiście od Psałterza królowej Małgorzaty.

Dłuższe ustępy krytyczne dostały się Kromerowi, Kochanowskiemu, Orzechowskiemu, Górnickiemu, Skardze i t. d. słowem każdemu z wybitniejszych pisarzy.

Jedną zwrotkę Niemcewicza cytuje w tekście polskim bardzo poprawnie, a poniżej podaje przekład jej po angielsku wierszem.

Tak samo też cytuje po polsku ustęp do „Ducha od Stepu" Bohdana Zaleskiego z tłumaczeniem poniżej.

Może najdłuższy ustęp w tym rozdziale poświęcony jest Mickiewiczowi, bo omawia nietylko jego działalność jako pisarza, ale też jako prelegenta literatury słowiańskiej, stosunek z Towiańskim, w końcu polityczną rolę, którą Mickiewicz odgrywał podczas krymskiej wojny w Paryżu i Carogrodzie.

Nadzwyczaj udatne są tłumaczenia angielskim wierszem rymowanym „Wilii" Mickiewicza, i pierwszych dwóch ustępów „Maryi" Malczewskiego; a jeszcze piękniejsze tłumaczenie także wierszem rymowanym „Chorału" Kornela Ujejskiego.

W następnym rozdziale o prawodawstwie polskiem, stosunkach społecznych, zwyczajach i obyczajach, a zwłaszcza w ustępach o przyczynach, które sprowadziły upadek Polski, uwydatnia się najwięcej uczciwa, ale sympatyczna bezstronność i sprawiedliwość; co zganić potrzeba, gani raczej z ubolewaniem niż ze zjadliwością.

Podawszy mnogie, nam niestety dobrze znane przyczyny upadku, kończy autor temi słowy: „Zdaje się, że gdy do powyższych pierwiastków rozkładu i bezsilności w państwie, dodamy tę okoliczność, że ono nie miało żadnych naturalnych granic, a było rozległą równiną otwartą na wsze strony dla najazdów potężnych wrogów, nie można się tak bardzo dziwić, że w końcu upaść musiało. Ale niepodobna dziejów tych walk śmiertelnych czytać bez szczerego współczucia i sympatyi. Powtarzam, że obywatelowi kwitnącego państwa, które raczej zasłużyło sobie na sławę wzniesienia się w dobrobycie materyalnym niż donkiszotowego sentymentalizmu nie przystoi z zimną krwią ćwiartować na wpół żywego, wijącego się w boleściach ciała Polski, rozciągniętej na stole sekcyjnym.

„Wykreślenie Polski z rzędu państw żyjących politycznie jest pokutą więcej niż tysiąc razy wystarczającą na zadośćuczynienie za błędy, które mogła popełnić za czasów swej niepodległości."

Tu zacytowany jest dwuwiersz angielski, jeśli mnie pamięć nie myli Szekspira:

„Men are we, and must grieve when even [the shade
Of that, which once was great, is passed [away."

(Jesteśmy ludźmi i musimy ubolewać, kiedy zniknie nawet cień tego, co niegdyś było wielkiem).

Po tem zakończeniu umieszcza autor spis najprzód najważniejszych wydarzeń historycznych, które nazywa przydrożnymi słupami (Landmarks) historyi Polski.

Spis ten kończy się na latach 1846 i 1863

Dalej podaje taki sam spis dat odnoszących się do literatury polskiej, a w końcu spis źródeł, do nauki historyi Polski, pomiędzy któremi obok Lelewela, Szajnochy itd. bardzo wysoko stawia profesora dr. M. Bobrzyńskiego „Dzieje Polski w zarysie".

Przy końcu znajdujemy spis książąt i królów polskich i genealogiczne tablice Jagiellonów (aż do Jana Kazimierza) i Sobieskich, których rodzina, jak wiadomo, przez Klementynę Sobieską spowinowaciła się z dynastyą angielską.

Książka ta zawiera około 40 ilustracyi bardzo starannie wykonanych, a kopiowanych ze starych rycin znajdujących się w British-Museum z dzieła Schiemana „Russland, Polen und Livland bis ins 17 Jahrhundert", a na koniec z dzieła Forstera „La Pologne", wydanego przed 50 laty. Z tego ostatniego wzięty jest kosynier Kościuszkowski i plan obozu tureckiego pod Wiedniem.

Rysunki monet i pieczęci wyjęte z Lelewela „Antiquités de Pologne"; jest też kilka ilustracyi z dzieł anglików Bernarda Connor, lekarza króla Jana III, pod tytułem: „Poland", i J. Coxe osobistego przyjaciela króla Stanisława Augusta pt. „Poland". Dodać się godzi, że nietylko wszystkie daty są bardzo skrupulatnie dokładne, ale jak już wyżej wspomniałem nazwiska osób i miejscowości pisane pisownią polską bez błędu.

Jednego tylko dopatrzyłem się błędu geograficznego, a mianowicie na str. 154 „Wrocław in Podolia". Mowa tu o Bracławiu, którego posłem na Sejm r. 1670 był Zabokrzycki.

Wzmiankę o tem dziele pozwoliłem sobie podać do wiadomości czytelników w przekonaniu, że ktokolwiek z Polaków włada językiem angielskim z wielkiem zajęciem i przyjemnością przeczyta tę książkę, a cieszyłbym się bardzo, gdyby zawodowe pióro chciało dla tych, którym język angielski jest obcym, napisać krytyczny jego rozbiór, o co ja się kusić nie śmiałem, bo mnie na to nie stać.

Chciałem tylko niniejszym krótkim zapiskiem zwrócić uwagę czytelników polskich na ten pocieszający dla nas objaw, że pośród wszechstronnego niemal przeciw nam podjudzania i szczucia, odzywają się jednak jeszcze — bodaj wyjątkowo — na obczyźnie uczciwe głosy o dziejach i stosunkach polskich, sądzące je bezstronnie, a nawet życzliwie.

Skoryki w lipcu 1898 r. *K. T.*

Co i o czem piszą.

Gazeta kościelna porusza bardzo żywotną i zajmującą sprawę, mianowicie zarzut robiony przez niektóre filosemickie pisma naszemu duchowieństwu, że propaguje antisemityzm. Bierze ona tę kwestyę głębiej i zastanawia się nad usiłowaniami mającemi na celu zabronienie księżom brania udziału w życiu publicznem. Oto pisze ona:

Na dnie tego wszystkiego jest zawsze mimowolne lub umyślne niezrozumienie istoty kapłaństwa, jego obowiązków, a specyalnie stosunku do osób. Zamknąć księdza w zakrystyi i zabronić mu udziału w życiu publicznem i wpływu na nie — to oczywiście byłoby pobożnem życzeniem żydowskich i nieżydowskich socyalistów, masonów, bezwyznaniowców i t. d., podobnie jak usunąć księdza ze szkoły, z towarzystwa, z życia intelektualnego. Jakkolwiek jednak ta tendencya do eliminowania zewsząd kleru osłonięta bywa płaszczykiem zbytniej czci dla świętości jego powołania i jakkolwiek jedynie przez uszanowanie dla religii chcianoby księdzu zabronić prawa karania i ujemnego klasyfikowania w szkole, głosu przy maturze, przy wyborach, przy dziennikarskiej dyskusyi, miejsca w sejmie, w parlamencie i radzie koronnej, tendencya zbyt jest wyraźna, aby trzeba było z tego rodzaju żądaniami się spierać. Każdy nieuprzedzony to rozumie, że ksiądz ma prawo i obowiązek zabierać głos i mieć wpływ we wszystkich gałęziach życia publicznego, naprzód jako obywatel, a potem jako powołany do czuwania stróż Bożego prawa. Jeśli nawet zostawimy na boku pojęcie idealnego społeczeństwa, w którem prawo Boże tłomaczone przez kościół byłoby najwyższem i jedynem prawem państwowem i towarzyskiem, jeśli staniemy na stanowisku państwa i społeczeństwa, rządzącego się niezależnie od zasad i wymagań religii i Kościoła, ksiądz pozostanie przecie zawsze poważnym czynnikiem społecznym i sam przez się i przez bardzo liczne zastępy tych, co idą za nim. Głosu trudno mu odebrać. Skoro zaś go ma, jak go ma używać? Tu dopiero trudności, tu zarzuty i żale. Każdy chciałby, aby siła ta, skoro już jest, i nie da się usunąć, działała na jego wyłączną korzyść a na szkodę jego przeciwników. Stronnictwa polityczne chciałyby wyzyskać ją dla własnych celów i agitacyi, żydzi pragnęliby nią się osłonić przeciw chrześcianom, chrześcianie użyć jej jako taranu na żydów. Ileż razy zarzucały księżom filosemityzm pisma przeciwne żydostwu, podobnie jak dziś *Słowo* robi nas antysemitami — ile razy pomawiano nas o stańczykostwo i reakcyę, o demagogię i socyalizm, o brak patryotyzmu polskiego i lojalności austryackiej. A tymczasem wszystko niesłuszne i żądanie i zarzuty. Ksiądz może i powinien mieszać się do polityki, jak powinien mieszać się do szkoły, do dziennika, do gospodarki miejskiej, do propinacyi, nawet do teatru, wytykając i zwalczając złe, gdziekolwiek ono się spotyka; ale nigdy i pod żadnym względem nie powinien być człowiekiem jednego stronnictwa i obozu. Nie jest dla niego sztandar narodowy lub partyjny obojętny — ale nie może być on dla niego wszystkiem. Synem swej ojczyzny będzie i powinien być ksiądz i zakonnik, ale patryotyzm jego równie ofiarny, jak każdy inny, nie będzie miał w sobie żądła nienawiści, spotykanego dziś tak często, i jak Chrystus Pan żydów kochał i nad losami Jerozolimy łzy ronił, ale nienawiści do Rzymu nie uczył i nie miał, tak i uczeń Chrystusowy patryotyzm rozumieć będzie jako samą tylko miłość.

* * *

Czas wraca jeszcze do artykułów Ignacego Daszyńskiego, umieszczonych w *Słowie polskiem* i pisze z tego powodu co następuje:

P. Daszyński, który stroi się teraz w pozory uciśnionej niewinności, wprowadził do naszego życia publicznego dziki i brutalny teroryzm, udaremniając na zgromadzeniach politycznych nietylko wszelką opozycyę, ale każdą dyskusyę przedmiotową; marna zaś rola, jaką odegrał w Wiedniu, łącząc się najściślej z zaciętymi wrogami Polaków, jest zbyt znana, aby ją przypominać. Dziś, gdy monopol jego agitacyi jest na razie przełamany, gdy utrudniono mu publiczne zabieranie głosu w jednej części kraju, znalazło się przecież pismo polskie, nie uchodzące dotychczas za organ socyalistyczny, które przyjęło i ogłosiło jego polemiczne wynurzenia. Być może, że ten nadmiar bezstronności nie pochodzi ze skrytych sympatyi, łączących w pewnych wypadkach nasz liberalizm z radykalnymi prądami, tam zwłaszcza, gdzie chodzi o zwalczania idei zachowawczych i że jest tylko wynikiem naiwnej filozofii politycznej redaktorów *Słowa polskiego*, w każdym jednak razie cel tej publikacyi jest bardzo niejasny, a jej potrzeby nie zrozumie żaden roztropny polityk.

* * *

Krakowski korespondent *Kuryera poznańskiego* — mimochodem mówiąc jeden z najznakomitszych współczesnych kapłanów, publicystów i mężów stanu — wypowiadając kilka refleksyi na temat odbytych w Krakowie uroczystości Mickiewiczowskich, porusza bardzo trafnie niewłaściwe kokietowanie z ludem, praktykowane przez naszą sentymentalną, miejską inteligencyę. Oto co pisze:

Nigdzie tyle się nie mówi o oświacie ludowej, ile w Galicyi, a tej oświaty jakoś nie przybywa zgoła, acz zewnętrznego pokostu znać dużo. Ciemnota musi być wielka, tam gdzie chłop dotąd nie wierzył ani księdzu, ani nauczycielowi, ani dworowi, jednego tylko słuchając żyda, aby nagle się i przeciw temu ostatniemu zwrócić, mszcząc się tym razem za prawdziwe i długoletnie krzywdy. Tkwi pewna niepraktyczność w działaniu i postępach owej rzekomej oświaty. Uderzyło nas to mianowicie z okazyi Mickiewiczowskich uroczystości. Wciąganie do nich ludu nie od dziś nas razi jako rzecz sztuczna i wytrybowana. W żadnym bodaj narodzie nie widnieje ta mania narzucania kultu poetów warstwom ludowym. Nie słyszeliśmy, aby chłop niemiecki czytał Fausta lub Wallensteina i nikt tej pretensyi doń nie ma. Wieśniak francuski Musseta ani Lamartine'a nawet z nazwiska nie zna, nie czytuje dramatów Corneille'a, ani pieśni Wiktora Hugo; wyższy zaledwie farmer angielski uczestniczy w narodowej czci dla Szekspira; nikt jej nie narzuca parobkom ni marynarzom. Pracując przez dłuższe lata wśród ludu wielkopolskiego, dostarczając mu książek, przekonałem się nieraz, co wieśniak nasz czytać lubi i potrzebuje, nigdy nie spostrzegłem, aby wiejscy czytelnicy domagali się Mickiewicza. A jednak lud poznański rozumem przerasta współbraci kmiecych z innych zaborów i właśnie dla tego zna stopień swych pojęć, i nie sięga po niedościgłe rzeczy, po wyższe dźwięki poezyi. Lira mazowieckiego Lenartowicza bliższa umysłu wieśniaczego od lutni Mickiewicza, przemawiającej do wykształceńszego ucha i ducha. Ale też nikt w Poznańskiem nie bawił się nigdy we wprzęganie ludu do manifestacyi, w popisywanie się siermięgami, w urządzanie komedyi oświaty. I dla tego to wielkopolska oświata głębsze zapuściła korzenie i ogarnęła piastowską rzeszę, stawianą dziś za przykład innym polskim dzielnicom.

O samym zaś pomniku i o politycznej manifestacyi jaka przy odsłonięciu jego miała miejsce, pisze ów korespondent co następuje:

Oczywiście nie jest to dzieło Michała Anioła, atoli rzecz poważna, artystycznie pojęta i wykonana. Postać wieszcza ma w sobie pewien majestat cierpienia, a choć płaszcz po trochu w armatnich spływa zwojach, choć włosy, ten szkopuł rzeźbiarstwa, zdaniem Guyskiego, wiecznie ubolewającego nad „makaronami" w większej części posągów zastępującemi naturalne kędziory, całość przedstawia się imponująco, rosnąc mianowicie ku niebu w sposób ponętny a nie zwykły. To wybujanie pomnika w górę uwydatniało się jeszcze, gdy wieńce bez liku zaległy podstawę, tak iż postać wieszcza zdawała się z kwiatów wyrastać. Cokolwiek zgryźliwsza orzecze krytyka, głos ogółu, rozstrzygający w takich sprawach, przyzna dziełu p. Rygiera pożądane przymioty i zalety! zaspokoił on tym razem wymagania publiczności polskiej, która w tej rzeczy za jednem tylko szła hasłem:

Onorate l'altissimo poeta!

Przydawało uroczystości temu świętu liczne i różnoliczne zebranie. Dla uczczenia Mickiewicza, Lech, Czech i Rus wznowili dawne pobratymstwo i przymierze. Stwierdził się mianowicie czesko-polski sojusz, zadzierzgnięty na nowo przez hr. Badeniego, który błędy swego urzędowania okupił sowicie tą zasługą. A okrom politycznych korzyści płynących ze zwarcia z sobą Słowian silnych szeregów, ileż nam zyskać przyjdzie z dobrych przykładów czeskich naszych braci, z Słowian najpracowitszych, najbardziej oszczędnych i najskromniejszych. Już w XV. wieku stare kroniki jagiellońskiej szkoły świadczą o korzystnym wpływie czeskich studentów, którzy wówczas tłumnie ściągali do Krakowa, na polską młodzież i uczącą się rzeszę. A znalazł się i jeden członek rozrosłego Rusa szczepu, mąż uczony i spokojny, rozmiłowany w wiedzy a całem sercem wzdychający za okresem miru i braterstwa. Darmo spróbowano uchybić przywilejom i wymaganiom gościnności i na szlachetnym przesłańcu nauki mścić winy czynowników, z których przecież żaden nie przybył uczcić Mickiewicza. Niemiłe zamącenie tych dni pokoju przez kilku nie krakowskich warchołów — a raczej warchołki — przygłuszą słowa znanego profesora Brandta z Moskwy, gdy nad wszechpoetów świata postawił naszego Adama, a przedewszystkiem piękny wiersz jego, w którym drga echo zamieszczonej przed laty pieśni Mickiewicza: *Do przyjaciół Moskali.*

Studyum o teatrze polskim.

Ukazała się w tych dniach książka autora „Wicka i Wacka", przed paru laty kierownika sceny lwowskiej, Zygmunta Przybylskiego, pod tytułem: „Z rozwoju polskiego teatru. Antonina Hoffmann". Obejmuje ona epokę, w której teatr krakowski, dzięki wytrawnemu kierownictwu Koźmiana, niemałe położył zasługi dla sceny narodowej i podaje wiele nieznanych a cennych szczegółów o artystach, pisarzach dramatycznych i w ogóle o polskim teatrze, od 1859 do 1897 r. Na tem tle zarysowuje się w sposób nader zajmujący sylwetka znakomitej artystki Antoniny Hoffmann, zmarłej w zeszłym roku. Ważniejsze role jej autor szczegółowo omawia oraz wykazuje, że część zasługi około rozkwitu teatru krakowskiego i jej przypada w udziele. Niektóre rysy z życia prywatnego artystki dopełniają obrazu. — Książka ta napisana przez naocznego świadka zajmujących i ważnych zdarzeń teatralnych, wyszła nakładem Gebethnera i Ski w Krakowie. — Poniżej przytaczamy jeden jej rozdział, noszący tytuł „Słowacki i Hoffmannowa. Konfederaci Barscy".

Chcąc dać narodową podstawę repertuarowi, Koźmian znalazł się w obec konieczności przyswojenia scenie dzieł Słowackiego lub pozostawienia w dziale dramatu niczem niezapełnionej luki. Komedya oraz inne rodzaje dostarczały żywiołów narodowemu teatrowi, ale prócz paru dzieł klasycznych jak „Barbara Radziwiłłówna" Felińskiego, niektórych dramatów Szujskiego jak „Halszka z Ostroga" oraz efemerycznych bieżących utworów, tragedya polska i dramat polski, stałego miejsca w nim nie zajmowały i nie pozostawało nic innego jak wprowadzić i utrwalić na scenie Słowackiego.

Zadanie było trudnem nawet niebezpiecznem, z powodu organicznych wad dramatów Słowackiego i wielu dziwactw, które przy świetle scenicznem musiały jeszcze bardziej razić niż w czytaniu. Ale powtarzamy, nie było wyboru, albo nicość w dziale dramatu albo Słowacki. Koźmian nie zawahał się i odważnie przystąpił do dzieła a wytrwale je przeprowadzał. Wystawiono wprawdzie już przed nim parę utworów Słowackiego, zwłaszcza „Mazepę", ale on dopiero wprowadził je systematycznie i organicznie w repertuar i dopiero za jego kierownictwa, znalazły one w nim zapewniony byt i stałe miejsce

Wreszcie wprowadził on na scenę cały cykl pośmiertnych dramatów poety.

Znane są wady utworów Słowackiego, ale muszą one mieć także zalety, skoro niewątpliwie wywierają wrażenie i mają dla artystów i widzów niezaprzeczony urok.

Jedną wielką ich ułomnością, posuniętą do przesady, ukazującą się jakby mania jakaś, jest już nie naśladownictwo, ale przepisywanie żywcem, powtarzanie całych ustępów, sprowadzanie zawikłań i położeń oraz stawianie w innych tylko strojach postaci Shakespeara. Było to zwłaszcza niedogodnem a nawet szkodliwem dla przedsięwzięcia, w epoce, w której Shakespeare znaczne w repertuarze teatru krakowskiego zajmował miejsce a wszystkie niemal jego utwory ukazywały się przed okiem publiczności, która dostatecznie była wykształconą, aby przenosić wzór nad kopię.

Ale o powodzeniu na scenie i usadowieniu się na niej, rozstrzyga nieraz jedna przeważna zaleta; taką jest u Słowackiego urocza forma wiersza i piękność języka.

Hoffmann po mistrzowsku wygłaszała ten wiersz i władała tym językiem, a że przytem była wielbicielką poety, że umiała wniknąć w jego ducha i przejąć się nim, stało się to rozstrzygającem, albowiem była artystka, która do zadania z zapałem przystępując, rozwiązywała je i zapewniała powodzenie przedsięwzięcia. Był też i artysta jakby przeznaczony do grania bohaterów Słowackiego, Bolesław Ładnowski.

Hoffmann wprowadziła i ustaliła Słowackiego na scenie swoją pracą i talentem i słusznie nazwać ją można interpretatorką i artystką Słowackiego.

Dzieła jego umiejętnie zastosowane do sceny i wystawione na niej z wielką starannością, czasem z przepychem, zespoliły się z repertuarem.

Hoffmann znała doskonale wady sceniczne Słowackiego, umiała z niemi walczyć lub je swoją grą zasłaniać. Mawiała: „Iś wielka to szkoda, że Słowacki niedostatecznie znał teatr, jego wymagania i tajemnice — a dodawała, że prawdopodobnie za mało w nim bywał". Istotnie, ciągle się natrafia w jego utworach na krzyczące nieuwzględnienie wymagań i potrzeb scenicznych a spotyka się, ze scenicznymi dziwolągami, tworami wybujałej czy nawet chorobliwej wyobraźni, nie ujętej w karby zdrowego rozsądku teatralnego.

„Balladynę" podobno pierwej wystawiono na scenie lwowskiej, ale bez wrażenia, bez powodzenia i bez tego koniecznego skutku, aby pozostała w repertuarze. Zwycięsko wprowadziła ją dopiero na scenę Hoffmann. Można ją potężniej grać, zwłaszcza przy większych środkach fizycznych; ale niepodobna rozumniej i głębiej ją obmyśleć, z większą prawdą i logiką przedstawić jak Hoffmann. To też ta jej kreacya stała się trwałą i poniekąd przeżyła ją samą. Nikt bowiem przed nią i nikt po niej, lepiej i rozumniej nie grał „Balladyny" i ktokolwiek zechce ją grać, wedle ducha utworu i zamiaru autora, trzymać się będzie musiał jej tradycyi.

Stworzyła „Beatrix Cenci" a była to kreacya sceniczna, poetyczna i tragiczna od stóp do głowy, która silne wywoływała wrażenie a postać raz widziana, nie tylko pozostawała wyrytą w pamięci, ale przemawiała zawsze do wyobraźni.

Idzie ostatnia pod czarnym fartuchem,
Idzie jak jaka królowa z dziecięciem
I białą świecą — ona najwinniejsza!

Hoffmann przyjęła strój i plastycznie przedstawiła na scenie Beatrix, podług słynnego portretu Guido Reni'ego z galeryi Barberini w Rzymie a to zjawisko sceniczne było tak pełne jakiegoś tajemniczego czy demonicznego uroku, że nie chcąc, aby znikło na zawsze, książka podaje wizerunek artystki jako Beatrix Cenci. Znany on dobrze współczesnym, winien być dla historyi sztuki dramatycznej zachowany.

Jednem z najtrudniejszych zadań było wystawienie „Niepoprawnych" a jeszcze trudniejszą była dla artystów ich interpretacya, z powodu zawiłości nie tylko intrygi ale i charakterów. Dzięki znakomitej grze Józefa Rychtera w roli starego majora rosyjskiego Hawryłowicza a Hoffmann i Bolesława Ładnowskiego w rolach hrabiny Idalii i hrabiego Fantazego Dafnickiego, przedstawienie było poważne i zajmujące.

Jeżeli słusznie upatruje się podobieństwo między stosunkiem, łączącym Zygmunta Krasińskiego z Delfiną Potocką, a tym, który istnieje między hrabią Fantazym a hrabiną Idalią, to niepodobna było lepiej i trafniej przedstawić autora „Irydiona" i jego Beatrice, jak to uczynili Bolesław Ładnowski i Hoffmann.

Przyszła wreszcie kolej na „Horsztyńskiego". Jak wiadomo brak w tym dramacie kilku ustępów i zakończenia. Na żądanie Koźmiana dorobił jedno i drugie Juliusz Mien, francuski tłumacz „Lilli Wenedy". Horsztyńskiego grał wspaniale Rychter, Szczęsnego Żelazowski z doskonałą intuicyą, przedstawiając psychologiczny moment w życiu Zygmunta Krasińskiego, rozdarcie jego duszy, między uczuciem synowskiem a patryotycznem. Salomeę, młodą żonę starego Horsztyńskiego, grała z głębokiem uczuciem Hoffmann a nuta tej roli była dziwnie smętną.

Piękną i silną kreacyą artystki, była Róża Weneda w „Lilli Wenedzie".

Grywała Hoffmann jeszcze za Pfeiffra i i Miłaszewskiego, Amelię w „Mazepie", podobno z wdziękiem; lecz rolę tę oddała chętnie Modrzejewskiej, uznając, iż była dla znakomitej artystki odpowiedniejszą, twierdziła bowiem, że Amelia winna wyglądać bardzo młodo, być niemal naiwną, różą ledwie w rozkwicie, co popierała przytoczeniem wierszy:

Królu widzisz mię jeszcze drżącą z przelęknienia
Wielką zniosłam obelgę — twarz mi opłomienia
Mówić nie mogę. — Niech król w lice mi nie patrzy
. . . .
Bom nie myślała, że mnie kto z ludzi nadybie
Musiałam spuścić oczy i w rzeczułki szybie
Wołać rybek na pomoc i prosić o radę,
Gdy ten bezczelnik lica moje widząc blade
Rozumiał, że mię z barwą zarazem różaną
Odleciał wstyd — i z trwogi na kładce zachwianą
Zatrzymał tak, że usta uczułam na twarzy...

Grała Aldonę w „Mindowe".

„Maryę Stuart" grywała i to często, ale jak już nadmieniliśmy nie czuła skłonności do tej dziwacznej, jakby psychologicznie połamanej postaci Słowackiego i zamieniła ją z Modrzejewską na rolę Pazia, w tej samej tragedyi. Sposób w jaki wygłaszała tu wiersz Słowackiego, był prawdziwym popisem. Zaraz na wstępie, mistrzowskiem było opowiadanie:

Smutne wieści przynoszę, posłuchaj królowo,
Oddawna cię znieważa płochy lud stolicy;
Dziś jeszcze byłem świadkiem, jak zniewagę nową
Wyrządził twym pałacom, królewskiej kaplicy itd.

Widzimy, że nie było utworu Słowackiego, przystępnego dla teatru, w którymby Hoffmann nie występowała i że zwłaszcza pośmiertnym ona byt na scenie zapewniła; widzimy, że dużo starań, dużo pracy i talentu poświęciła temu zadaniu. Usiłowania jej uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, zasługa pozostała jej własnością i słusznie Grabowski namalował jej portret, jako przedstawicielkę poety, z jego dziełami w ręku, stawiając naprzeciw popiersie Słowackiego.

Wystawiono także „Księcia niezłomnego" Calderona w przekładzie Słowackiego, a w roli tytułowej Bolesław Ładnowski dosięgnął wyżyn sztuki dramatycznej.

Jedynie prawdziwym dramatem polskim są „Konfederaci barscy" Mickiewicza. Budową, charakterami, działaniem są więcej scenicznymi od wszystkich utworów Słowackiego. Fatalność ciążąca nad polskim dramatem chciała, aby z pożaru jednego z teatrów paryskich, w bibliotece którego znajdował się manuskrypt, ocalały tylko dwa akty. Ale dziwnem znowu zrządzeniem, te dwa akty stanowią całość, a w dziedzinie dramatu polskiego królują.

Koźmian obejmując samoistnie dyrekcyę teatru, postanowił zaraz przedstawić „Konfederatów".

Wystawienie ich zaznaczyło epokę w teatrze polskim.

Przystąpiono do zadania z wielką starannością, poważnie, z pietyzmem. Przygotowania trwały długo. Odbyto znaczną liczbę prób. Trzeba było widzieć, z jaką usilnością i sumiennością, torowali temu arcydziełu drogę na scenie dyrektor i artyści, jak potrafili wzniecić dla niego zapał i tem samem zgotować mu tryumfalny pochód w innych teatrach polskich.

Przekład wierszem Olizarowskiego — jak wiadomo Mickiewicz napisał „Konfederatów" po francusku — jest doskonały, piękny formą i oddaje wybornie ducha utworu.

Przedsięwzięcie obudziło żywe zajęcie Juliana Klaczko; udzielił on swej pomocy, głębokiej znajomości Mickiewicza i wytwornego smaku estetycznego; uczęszczał na próby, poniekąd kierował niemi, wskazując artystom prawdziwy zamiar wieszcza i dopomagając im do wniknięcia w jego myśl. Informował szczegółowo Hoffmann w roli hrabiny. Skutek nie zawiódł.

Przedstawienie „Konfederatów" było w całości i szczegółach znakomitem, doprowadzonem niemal do doskonałości. Zadowoliło Klaczkę, co łatwem nie było. Ale bo też uwydatniło ono wszystkie wielkie, wyjątkowe piękności i zalety dzieła oraz charaktery występujących osób, po mistrzowsku nakreślone.

Dramat ten, odsłaniający przed oczyma widzów początek najboleśniejszych dla nas wypadków, z ks. Markiem i Kazimierzem Pułaskim a w którym każda narodowość z jej właściwościami, zaletami i wadami, nadzwyczaj znakomicie jest nacechowaną, odegrany został przez artystów niepospolicie i wzorowo zarazem. Dodał też wiele i to potężnego blasku, teatrowi krakowskiemu i wskazał drogę, jaką zamierzał kroczyć.

„Konfederatów" grano z wielką dokładnością, przytem pięknie, niemal z natchnieniem, udzielającem się z podniosłego utworu. Bolesław Ładnowski stworzył na scenie Ojca Marka z pewną potęgą i porwał publiczność, Gustaw Fiszer z niezwykłą inteligencyą doktora, Feliks Benda Puławskiego z wybornym zakrojem deklamacyjnym powstańca entuzyasty, Zboiński typowo wojewodę, dobrze jenerała Skąpski, którego potem znakomicie zastąpił Szymański. Wszystkie mniejsze role były grane wyśmienicie. Hrabina Antoniny Hoffmann, była arcydziełem. Zdumiewającą intuicyą, z torsu, w dwóch scenach jednego aktu, odtworzyła ona i wskrzesiła polską kobietę rozbiorową. Jej opowiadanie snu było poetycznem i wzorem dykcyi.

Była to w całem tego słowa znaczeniu, wygrana bitwa, a przedstawienie to sprawiło, że dwa akty francuskiego utworu Mickiewicza pozbawionego następnych, okazały się być najznakomitszym dramatem polskim.

A tak powiodło się Koźmianowi, z możliwą doskonałością, wystawić dwa arcydzieła polskie: „Śluby panieńskie" Fredry i „Konfederatów Barskich" Mickiewicza.

Kronika.

Lwów 18 lipca.

Władomości urzędowe. Minister oświaty nadał opróżnione posady nauczycieli: profesorowi gimnazyum nowo-sądeckiego Franciszkowi Bisonowi przy IV. gimnazyum we Lwowie, prof. gimnazyum kołomyjskiego Władysławowi Bojarskiemu przy gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, prof. dr. Ludwikowi Boratyńskiemu z Wadowic przy gimna- św. Anny w Krakowie, prof. Aleksandrowi Frączkiewiczowi z Jarosławia przy gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, prof. Józefowi Gebhardtowi z Tarnopola przy gimnazyum w Tarnowie, prof. Wojciechowi Grzegorzewiczowi ze Stryja przy gimnazyum IV. we Lwowie, prof. Juliuszowi Ippoltowi z Przemyśla przy gimnazyum św. Anny w Krakowie, prof. Bronisławowi Kąsinowskiemu z Brodów przy gimnazyum polskiem w Przemyślu. — Dalej przeniesieni: Jan Kostecki ze Stryja do IV. we Lwowie, Władysław Krukowski z Chyrowa do Jarosławia, Celestyn Lachowski z Jasła do gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, dr. Karol Opuszyński z Bochni do III. gimnazyum w Krakowie, Wacław Patz z seminaryum nauczycielskiego w Czerniowcach do szkoły realnej w Czerniowcach, ks. Aleksander Pechnik z Tarnowa do IV. gimnazyum we Lwowie, Karol Rawer z gimnazyum Franciszka Józefa do IV. gimnazyum we Lwowie, Karol Skwarczyński z seminaryum nauczycielskiego w Rzeszowie do szkoły realnej w Tarnowie, J. Szafran z Rzeszowa do V. gimnazyum we Lwowie, W. Wasilkowski z Przemyśla do IV. gimn. we Lwowie, dr. W. Wróbel z Sanoka do IV. gimn. we Lwowie. Rzeczywistymi nauczycielami mianowani suplenci: Józef Bielski do Jasła, Karol Bobrzyński do Bochni, Aleksander Demkowicz do Nowego Sącza, Adryan Dobrzański do Buczacza, Leon Dolnicki do Kołomyi (ruskie paralelki), Aleksander Furmankiewicz do Sanoka, Roman Hanczykiewicz do Przemyśla (polskie gimnazyum), Klemens Hlebowicki do Przemyśla (ruskie gimnazyum), dr. Stefan Juryk do V gimnazyum we Lwowie, Apolinary Maczuga do Rzeszowa, Ignacy Meyer do Brodów, Zygm. Paulusiński do Brodów, Wiktor Pogorzelski do Tarnopola, Piotr Rzepnicki do Tarnopola, dr. Marcin Sas do Bochni, Antoni Siennicki do Kołomyi, Michał Siwak do Kołomyi, Stanisław Sobiński do Wadowic, Stanisław Szymała do IV. gimnazyum we Lwowie, dr Konstanty Wojciechowski do Stryja. — Dyrektorem seminaryum nauczycielskiego w Czerniowcach mianowany Władysław Gwiazdomorski z Czerniowiec.

Zmiany w gronie nauczycielskiem w kraj. niższych szkołach rolniczych. Wydział krajowy uchwalił przenieść następujących nauczycieli niższych szkół rolniczych: Ludwika Kaszyckiego z Kobiernic do Bereźnicy, Edmunda Bielskiego z Bereźnicy do Suchodołu, Jana Górskiego z Gródka do Suchodołu, instruktora Remera z Bereźnicy do Kobiernic i praktykanta Turakiewicza z Jagielnicy do Bereźnicy. Oprócz tego uchwalił Wydział krajowy dwóch nauczycieli do nauk elementarnych w tychże szkołach i postanowił rozpisać na te dwie posady, tudzież na taką samą posadę w nowo utworzyć się mającej szkole w Suchodole konkurs z terminem do 15 sierpnia.

Dziwne wydzierżawienie. *Nowa Reforma* donosi: Gmina m. Stanisławowa poniosła bardzo znaczną szkodę przez zawarcie kontraktu dzierżawnego propinacyjnego z dotychczasowym dzierżawcą p. Rauchem, który ofiarował cenę niższą od innych konkurentów, [illegible] Ofiarował mianowicie p. Rauch dzierżawnego rocznie 165.118 złr. na wypadek, jeżeli [illegible]; bracia Breitlerzy z Kołomyi ofiarowali zaś pod tym samym warunkiem 172.000 złr., a „Lwowskie Tow. akcyjne browarów" nawet 174.000 złr. [illegible] sprawy [illegible] od Wydziału krajowego, do którego ją odesłano, [illegible] Wydział krajowy [illegible] i pole- [illegible]

Wyższe Towarzystwa „Bursy" imienia Tadeusza Kościuszki w Złoczowie rozpisuje na rok szkolny 1898/9 konkurs na 8 miejsc w bursie złoczowskiej, przeznaczonych dla uczniów złoczowskiego gimnazyum, religii katolickiej bez różnicy obrządku i narodowości, którzy odznaczają się nauką i dobrymi obyczajami. [illegible] 8 miejsc [illegible] warunkach [illegible] opłatą ca- [illegible] do 20 [illegible] złoczowskie- [illegible] świadectwa [illegible] także świadectwo [illegible]

Stan urodzajów. Z okolicy Podwołoczysk piszą nam: Po posusze i chłodach trwających przeszło miesiąc nastąpił tydzień słoty, wskutek której gdzie jeszcze niezwiezione siano i koniczyny zamokły; jarzyny za to nieco się poprawiły. Pomimo tego jednak owies, jęczmień i hreczka są bardzo mierne. Groch, bobik i fasola plon dobry. Zbiór siana i koniczyny wypadł średnio. Pszenica i żyto [illegible] wypełnia się normalnie i obiecuje plon niezły. Żniwa rozpocznie się około 20 b. m.

Z okolicy Zaleszczyk piszą nam: U nas (Iwanie nad Dniestrem) już rozpoczęło się żniwo żyta; [illegible] z morga. Pszenica, jęczmień i owies jeszcze zupełnie zielone [illegible] o żniwach. [illegible] spóźnienie. Ceny [illegible]: Pszenica 8.75, Żyto 7.25.

Ferdynand „nieobecny". [illegible] księcia bułgarskiego [illegible] zamek nie- [illegible] przyjeździe.

Wystawa paryska w r. 1900. W ogłoszeniu dziennika *Wiener Tagblatt* z dnia 14 b. m. niejaki p. Ludwik Moser, architekt w Paryżu, zaprasza wystawców, chcących zapewnić sobie dobre miejsca na wystawie paryskiej [illegible]. Gdy jednak [illegible] c. k. komisaryat generalny wystawowy jest upoważniony [illegible] w oddziale austryackim, przeto komisaryat ten ostrzega interesentów, by nie wdawali się w tego rodzaju niejasne transakcye.

Kolonie wakacyjne w Tuchli. Do Tuchli, gdzie jak wiadomo, ukończono obecnie budowę domu kolonii wakacyjnej, wyruszył onegdaj pociąg, wiozący kontyngens dziatwy, mającej korzystać z tej kolonii. Oprócz dzieci udali się do Tuchli także liczni goście, w celu wzięcia udziału w uroczystości poświęcenia nowego budynku, tak, że ogółem przyjechało do Tuchli około 1000 osób. Gdy pociąg stanął, dziatwa i goście ruszyli pieszo pod górę, na której stoi dom dla kolonistów. Przybywających powitały dźwięki muzyki i salwy moździerzowe, poczem wszyscy zebrali się w ogromnej sali gimnastycznej w domu kolonii. Tu po nabożeństwie dokonali aktu poświęcenia nowego budynku miejscowi księża Dawydiak i Ustyanowicz, poczem ks Świsterski ze Lwowa, w serdecznej przemowie dziękował wszystkm, którzy dopomogli to piękne dzieło doprowadzić do skutku, a szczególnie inicyatorowi jego, dyrektorowi Wierzbickiemu, i oddał gmach do użytku publicznego. Następnie zastawiono dla dzieci obiad, a potem rozlokowano je po obu skrzydłach gmachu, z których prawe jest przeznaczone dla chłopców a lewe dla dziewcząt.

Po dzieciach zasiedli do stołów starsi. W gronie uczestników oprócz dygnitarzy kolejowych znajdowali się wicepr. Schayer, radzca dworu Morawetz, inspektorowie Bol. Baranowski i Tokarski, dyr. Baranowski i wielu innych. Szereg toastów rozpoczął insp Baranowski, poczem przemawiali ks. Świsterski, Platon Kostecki, ks Dawydiak, a nareszcie dyr. Wierzbicki, który w serdecznych a rzewnych wyrazach dziękował wszystkim, którzy choćby centowym datkiem przyczynili się do urzeczywistnienia tej pięknej instytucyi.

Potem przemawiali robotnicy: Kukuła z warstatów stryjskich, Olechowski ze Lwowa i Czarnecki z Przemyśla, dziękując inteligencyi za urzeczywistnienie tak pięknego dzieła, które dla warstw robotniczych będzie prawdziwem dobrodziejstwem, jak bowiem wiadomo, kolonia tuchelska przeznaczona jest dla dzieci niższych urzędników i służby kolejowej.

Po obiedzie odbyła się wycieczka dla zwiedzenia okolicy a wieczorem illuminowano budynek kolonijny i całe wzgórze, na którem stoi. O godzinie 10 wieczorem wsiedli goście do pociągu odjeżdżającego do Lwowa, żegnani śpiewami i muzyką tudzież głośnymi okrzykami pozostającej w Tuchli dziatwy.

Koloniści w liczbie 80 pozostaną w Tuchli przez sześć tygodni. Wśród nich jest tylko 4 dzieci biedniejszych urzędników, reszta zaś to sama dziatwa robotnicza. Dla rozrywki mają koloniści gimnastykę i rozmaite zabawki. Należy jeszcze z uznaniem podnieść, że wszelką pościel i ubrania dla kolonii uszyły same panie, należące do komitetu pod wodzą pani Wierzbickiej, która była i jest duszą kolonii.

W muzeum technologicznem w Wiedniu dwaj Polacy: p. Jakób Agopsowicz z Galicyi wschodniej i p. Stanisław Kremer z Krakowa złożyli egzamin państwowy na wydziale chemiczno-technicznym.

Śledztwo w sprawie rozruchów antiżydowskich. Z Krakowa donoszą: Wskutek zarządzenia prezydenta sądu wyższego p. Czyszczana, otrzymał radzca Pogorzelski jeneralną inwigilacyę nad toczącemi się śledztwami z powodu rozruchów w okręgu krakowskiego sądu wyższego, w tym celu, aby nadzór nad temi śledztwami skoncentrować w jednej ręce. Zyskuje się przez to ewidencyę, pozwalającą czuwać nad szybkiem przeprowadzeniem dochodzeń, dla zaprowadzania jednolitego kierunku, przekonania się o potrzebie aresztu śledczego, oraz starania się, aby strona meritoryczna jak najrychlej była załatwiona Wskutek tego zarządzenia, sprawy te idą szybkim krokiem.

Morderstwo w Czyszkach Żandarmerya wyśledziła już sprawców morderstwa grabarza z Czyszek i jego żony. Są to krewni zamordowanych małżonków i byli grabarzowi dłużni znaczne sumy. Jeden z nich, nazwiskiem Łokietko, jest bratankiem grabarzowej, drugi zaś szwagrem Łokietki. Obaj mieli w Czyszkach jak najgorszą opinię, jeden z nich był nawet karany za usiłowane morderstwo.

Zmarli. W Truskawcu na kuracyi ks. Karol Pelcz, rz. kat. proboszcz z Kocmania na Bukowinie, lat 74.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano +13, w poł +14 R. Bar. 765. Podnosi się. Pogoda.

Siła przyzwyczajenia.

Stróż kamieniczny: Chciałem prosić pana doktora, żeby mi ząb wyrwał.

Doktór: Który:

Stróż: Na parterze, od frontu, numer trzeci.

Złapał się. Gość w restauracyi do gospodarza:

— Befsztyk był zły, ale za to... mały.

— O przepraszam! Jeżeli był dla pana mały, to nie musiał być tak zły...

Literatura i sztuka.

* **Z teatru** Starymi ale jarymi można nazwać odegrane wczoraj w letnim teatrze „Pamiętniki szatana". Chociaż bowiem na sztuce znać robotę z przed lat kilkudziesięciu, mimo to słucha jej się z zajęciem. Nie można się też dziwić, że „Pamiętniki szatana" w czasie swego powstania, kiedy to co dziś zwietrzało, było świeże i nowe, narobiły w świecie wielkiego rumoru przynosząc swemu autorowi rozgłos i pieniądze.— Szlachetny dependent notaryalny Robin, będąc w posiadaniu dokumentów rzucających złe światło na przeszłość kilku osób, postanawia zmusić te osoby do zwrócenia dziedzictwa wydartego nieprawnie wdowie i sierocie po baronie Ronquerolles. Nie mówiąc, kim jest, tajemniczą władzą dokumentów zwanych „pamiętnikami szatana" wydobywa on po kolei od każdego zrzeczenie się nieprawnie nabytego dziedzictwa. Naturalnie, że trafia na rozmaite przeszkody, które jednakże dzięki swej energii szczęśliwie zwycięża i w końcu celu swego dopina. Zdziaławszy to demaskuje się i żeni z panną Ronquerolles, której piękność była prawdopodobnie jedną z głównych sprężyn jego energicznego działania.

Zajmującą tę sztukę grano ogółem dobrze. P. Woleński w roli Robina był doskonałym. Osobliwie w akcie drugim, gdzie na balu maskowym występuje przebrany za dyabła, wyglądał świetnie dzięki naturalnym warunkom maski i postaci. To też publiczność zgromadzona w teatrze dość licznie, pomimo pogody, zapraszającej do wycieczek, biła mu brawa z zapałem i wywoływała w antraktach kilkakrotnie przed kurtynę.

* **Wędrowca** wyszedł Nr. 28 i zawiera szereg pięknych illustracyi i bogaty dział literacki. Bardzo zajmującym, jak zwykle jest dział wypadków bieżących, objaśniony szeregiem rycin. W części literackiej znajduje się dalszy ciąg powieści Zbigniewy Zmorskiej p. t. „Nitka jedwabiu", opis podróży po Bośnii i Hercogowinie Stanisława Bełzy i dalszy ciąg zajmującego studyum Gomulickiego p. t. „Piękna". Począwszy od 1 lipca drukowany jest „Wędrowiec" na ślicznym papierze welinowym, skutkiem czego illustracye przedstawiają się nierównie lepiej niż dawniej.

* **Biblioteka dzieł wyborowych** w ostatnim tomie 33. zakończyła pamiętniki Anny hr. Potockiej, będąca cennym przyczynkiem do dziejów Napoleona I. W dalszych tomach bieżącego kwartału pojawią się publikacye nadzwyczaj zajmujące, jak głośna praca br. Suttnerowej p. t. „Precz z orężem" podróż Nansena do bieguna północnego, powieść Wiktora Hugo pt. „Rok 93", „Pamiętnika Seglasa" przez Fryderyka hr. Skarbka i wiele innych.

Z izby sądowej.

Lwów, 18 lipca.

(*Awantury wiecowe*).

W sobotę rano odbyła się w miejskim delegowanym sądzie sekcyi III we Lwowie rozprawa karna z powodu pamiętnej bójki na wiecu, odbytym na górze Zamkowej podczas jubileuszu zniesienia pańszczyzny dnia 19 maja b. r. Jak wiadomo, na wiecu tym przemawiał między innymi, także ruski akademik Siokało; w chwili, gdy zaczął swoją przemowę, dały się słyszeć z tłumu uczestników wiecu protestujące głosy akademików należących do partyi ukraińskiej, że Siokało, jako moskalofil niema prawa przemawiać w imieniu całej ruskiej młodzieży. W następstwie tego wszczęła się bójka, w której akademików Ukraińców poturbowano i wyrzucono po za ogrodzenie, otaczające plac zebrania. Wskutek doniesienia policyjnego wytoczyła prokuratorya proces dwom rzekomym uczestnikom owej bójki, akademikowi Zenonowi Władyczynowi i redaktorowi *Strachopuda* p. Józefowi Monczałowskiemu. Jako poszkodowani a zarazem świadkowie stanęli akademicy: Durbak i Wesołowski.

Obwinieni zaprzeczyli, jakoby brali udział w bójce. Pierwszy z nich Władyczyn nie był nawet na miejscu bójki, drugi zaś p. Monczałowski był wprawdzie wśród zamętu bijących się, ale tylko w roli pojednawczej, uspokajał bowiem roznamiętnionych słowami: „W imię kultury proszę dać spokój". Za to poczęstował go ktoś z tyłu uderzeniem laski, a przytem posypały się nań przezwiska „moskal", „kacap" i t. p. Akademików Durbaka i Wesołowskiego wcale nie zna.

Przesłuchiwani Durbak i Wesołowski zeznali, że obaj oskarżeni w istocie udziału w bójce nie brali. Oświadczyli oni także, że nie umieliby podać nazwisk tych ludzi, którzy ich poturbowali. Wobec tego sędzia p. Gut wydał wyrok uwalniający obu oskarżonych od winy i kary.

* * *

Kraków 16 lipca.

(*Zaburzenia w Sidzinie*).

Rozegrał się tu proces ośmiu włościan i robotników, oskarżonych o napad na karczmę i domy żydowskie w Sidzinie koło Tyńca. Przed sądem stanęli: Antoni Chmura, Walenty Książek, Adam Torba, Józef Maj, Jędrzej Zielnik, Kajetan Sułowski, Józef Gwóźdź i Walenty Krupa. Według aktu oskarżenia przybyli oni dnia 8 czerwca br. do karczmy Mojżesza Brandesa i żądali wódki. Karczmarz po pewnem wahaniu się dał im litr rumu, wartości 60 ct. (Musiał to być pyszny rum!) Gdy jednak Brandes upomniał się o zapłatę, jeden z obecnych zawołał: „Ano, na żyda!" i już otoczyli go, ale Brandes uciekł, a córka karczmarza uspokoiła napastników, częstując ich znowu rumem; wypili więc kilka kieliszków, zapłacili za jeden i odeszli. To było około godziny 7-mej wieczorem. W nocy o godzinie 11-tej przybyło znowu czterech ludzi pod karczmę, między nimi Torba, Zielnik i Książek i rzucaniem kamieniami usiłowali zmusić Brandesa, by karczmę otworzył.

Ogółem padły 22 kamienie i zniszczyły pięć szyb, a padały także do izb mieszkalnych. Napastnicy, widząc bezskuteczność szturmu, odeszli, ale za jaką godzinę powrócili, domagając się znowu otworzenia karczmy. Brandes przestraszony ukrył żonę i córkę, a sam uciekł do sąsiada. Tymczasem napastnicy weszli oknem do karczmy, potłukli około 40 flaszek, zabrali tytoń i cztery serki, połamali ramy okien, poczem nareszcie odeszli. Tej samej nocy urządzono napad na domy czterech innych żydów, zamieszkałych w Sidzinie.

Oskarżeni po części przyznawali się do winy, w części zaś składali ją na dwóch innych ludzi, ani im ani sądowi niewiadomych; że tacy nieznajomi byli w tej grupie, potwierdza to sam Brandes. Wesołość wywołało zeznanie poszkodowanego Juliana Wettsteina, któremu także bombardowano dom kamieniami. Twierdzi on, że został raniony kamieniem w usta; poszedł więc nazajutrz do żandarmeryi i żądał opieki, gdyż „jest zabity".

Sąd uwolnił Chmurę, Sułowskiego, Gwoździa i Krupę, skazał zaś: Książka na pięć, Fabrę na cztery i pół, Maja na cztery i Zielnika na cztery miesiące ciężkiego więzienia. Oskarżeni przyjęli wyrok, narzekając tylko na tych, którzy ich do tych awantur nakłonili.

* * *

Wadowice, 16 lipca.

(*Kocia muzyka dla żydów*).

Szesnastu wyrostków z Jeleśni w pow. żywieckim stawało przed tutejszym trybunałem karnym pod zarzutem zbrodni gwałtu publicznego. Zbrodnię tę popełnili, jak to sam akt oskarżenia objaśnia, w ten sposób, iż w dniach 10, 11 i 12 czerwca przeciągali wieczorami koło mieszkań żydowskich, gwizdali, trąbili na starych rurach z komina, bili w piły, blachy i stare garnki, dzwonili dzwonkami, pukali w ściany domów i wybili kilka szyb. Oskarżeni przyznają, że urządzali żydom kocią muzykę, ale ludzie z sąsiednich gmin mówili im, że „Ojciec święty tak kazał". Jeden z nich do tego stopnia był przekonany o tem, że wyrządza żydom przyjemną rozrywkę, iż zgłosił się nazajutrz do jednego z uczczonych tą serenadą żydów z prośbą o parę groszków dla muzykantów. Interesowani żydzi podali tylko, że bardzo się bali tych wrzasków i dźwięków.

Trybunał wszystkich uwolnił.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 16 lipca.

(Z) Nasi spekulanci giełdowi, nie mając znikąd podniety, chwytają się kurczowo każdej wiadomości z Węgier o zmianach atmosferycznych i widokach na żniwa i odpowiednio do nich nastrajają giełdę. Dzisiejsze wiadomości były dosyć uspokajające, donosiły bowiem, że jakkolwiek słoty poczyniły znaczne spustoszenia, atoli zawsze jeszcze można liczyć na średni zbiór. Wiadomość ta w związku z zakupnami pewnej grupy spekulantów peszteńskich wywołała od pierwszej chwili tendencyę zwyżkową, z której skorzystały w pierwszym rzędzie Statsbahny. Gdy jednak załatwiono kilkadziesiąt niewielkich transakcyi, stagnacya opanowała zupełnie targ i ostatnie dwie godziny obrotów przeszły całkiem cicho, a poranne zwyżki zredukowały się prawie do zera. Z targów zagranicznych nie było dziś żadnej podniety.— W Berlinie tylko wywołał pewną irytacyę ostry ton, w jakim *Nowoje Wremia* odezwały się o stosunkach między Rosyą a Anglią.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 359·—, węgierskie 394 —, Anglobanki 157·—, Uniony 294·75, Bankvereiny 266·75, Länderbanki 226·05, Ludwiki 212·10, Czerniowieckie 291·—, Elbethale 262·25, Renta papierowa 101·70, srebrna 101·60, austryacka złota 121·50, austr. renta wal. kor. 101·—, węgierska złota 120·55 węgierska renta wal. kor. 99.—, dukat 5·63, 20 frankówka 9·52½, marki 11·75—, ruble 1·26½.

Ceny zboża. Wiedeń 16 lipca. Pszenica na jesień 8·68; żyto na jesień 7; owies na jesień 5.91; kukurudza na lipiec-sierpień 5·43 na wrzesień październik 5·46; rzepak na sierpień-wrzesień 12·60—12·70. Spirytus 20—20·20. (Przeciętna cena z całego tygodnia 19·95—20·15).

Losowania. Główna wygrana losów serbskich padła na seryę 4578 nr. 36, druga wygrana na seryę 253 nr. 30, trzecia na seryę 2503 nr. 31. Po 1000 franków wygrały s. 622 nr. 13 i 1439 nr. 18.

Ostatnie wiadomości.

Krwawe zajścia.

Wczoraj po południu w Bursztynie robotnicy kolejowi mazurscy w liczbie kilku pokłócili się z jakimś przekupniem żydowskim gdyż przekupień źle ich traktował. Wywiązała się z tego utarczka na słowa, na co żydzi poczęli robotników bić. Jest to stwierdzone urzędownie, że prowokacya wyszła od żydów. Rozjątrzeni robotnicy natychmiast wezwali swych kolegów w liczbie około trzystu i wówczas zawrzała walka na pięści, „barabów" z żydami i niszczenie mienia żydów. Tak po stronie robotników, jak żydów jest wielu pokaleczonych. Rabinowi miejscowemu złamano rękę. Starosta powiatu rohatyńskiego p. Bobrzyński udał się dziś w nocy na miejsce wypadku.

* * *

W Kościejowie w pow. lwowskim wszczęła się wczoraj bójka między kilku włościanami a miejscowym karczmarzem, żydem. W karczmie wyrwano okna z ramami. Żandarmerya rychło wkroczyła i ekscedentów ujęła. Starostwo lwowskie wysłało do Kościejowa swego delegata.

Telegramy Przeglądu.

Wojna hiszpańsko-amerykańska.

Nowy-York 18 lipca. Warunki kapitulacyi Sant Jago są następujące: Wojska hiszpańskie opuszczają nie tylko miasto Sant Jago, ale całą prowincyę tejże nazwy aż po twierdzę Holguin. Wojska hiszpańskie opuszczą Sant Jago z honorami wojskowymi i złożą broń w miejscu, wskazanem przez Amerykanów. Oficerowie zatrzymają swą broń, szeregowcy zaś zatrzymają przedmioty, będące ich własnością. Amerykanie zobowiązują się przewieźć do Hiszpanii wojsko hiszpańskie na okrętach własnych lub neutralnych. Działa pozycyjne mają być Amerykanom oddane w dobrym stanie. Lekarze amerykańscy i oddziały sanitarne obowiązani są opiekować się rannymi i chorymi Hiszpanami. Hiszpanie pomagać mają Amerykanom w wyłowieniu min, zamykających wejście do zatoki Sant Jago. — Termin wymarszu wojsk hiszpańskich z Sant Jago naznaczono na wczoraj, godzinę 9 rano.

Nowy-York 18 lipca. Dzienniki tutejsze donoszą, że jeneralny gubernator Kuby marszałek Blanco do ostatniej chwili sprzeciwiał się kapitulacyi Sant Jago, że nawet zachęcał wyższych oficerów tamtejszej załogi do stawiania w tym względzie oporu jenerałowi Toralowi.

Madryt 18 lipca. Rozeszła się tu pogłoska, że były minister kolonii Moret zamianowany został komisarzem królewskim do prowadzenia rokowań pokojowych. Sfery urzędowe zaprzeczają jej atoli stanowczo. — Na wyspie Portorico eksplodowało 150 skrzyń z nabojami, skutkiem czego zginęło 14 artylerzystów, a kilkunastu jest strasznie pokaleczonych.

Londyn 18 lipca. Do *Daily Telegraph* donoszą, że Amerykanie skierują teraz główne swe siły na wyspę Portorico i że z Waszyngtonu wyszedł już rozkaz, aby zgromadzone w obozie w Tampie wojska skierowano nie na Kubę, ale na Portorico.

Madryt 18 lipca. Dziennik *Correspondencia* potwierdza wiadomość, że rząd pragnie, aby sprawa przyszłego ułożenia się stosunków na Kubie uregulowaną została przez plebiscyt ludności kubańskiej. Nadto donosi to pismo, że minister marynarki otrzymał od marszałka Blanco depeszę, donoszącą, że rokowania co do kapitulacyi miasta Sant Jago jeszcze trwają. Amerykanie skoncentrowali pod Sant Jago 50 tysięcy wojska, 60 dział oblężniczych i 32 okrętów.

Dzienniki donoszą, że rząd ma zamiar wypuścić nowe pieniądze papierowe po 1 i po 5 pesetów.

Portsmouth 18 lipca. Wczoraj przewieziono tu 900 jeńców hiszpańskich; razem znajduje się tu 1700 jeńców. Choroby szerzą się między nimi w sposób straszny, zwłaszcza żółta febra. Dotychczas umarło wprawdzie dopiero 10, lekarze jednak utrzymują, że można będzie mówić o szczęściu, jeżeli umrze nie więcej jak 500.

Wiedeń 18 lipca. Hr. Thun zaprosił także katolickie stronnictwo ludowe na konferencyę w sprawie językowej, a ono wydelegowało pp. Dipaulego, Ebenhocha, Fuchsa i Karlona. Konferencya odbędzie się jutro. Wczoraj odbyła się długa narada gabinetowa, a dziś odbędzie się ponownie. Prezes gabinetu węgierskiego br. Bauffy konferował wczoraj z hr. Thunem, a wieczorem wrócił do Pesztu.

Berno (Morawskie) 18 lipca. Wczoraj przyszło w Prosnicach do starcia między Niemcami a studentami czeskimi. Ponieważ zachodzi obawa ponowienia się ekscesów, przeto wzmocniono znacznie tamtejszy posterunek żandarmeryi.

Grac 18 lipca. Skutkiem odwołania się prokuratoryi podwyższył tutejszy trybunał apelacyjny karę, wymierzoną studentowi medycyny Premowi za udział w pojedynku, z trzech na ośm miesięcy więzienia. Prem pojedynkował się z pewnym oficerem bośniackiego pułku i został ranny, a wyleczywszy się uciekł do Szwajcaryi.

Petersburg 18 lipca. Bogate pokłady złota odkryto w pobliżu morza Ochockiego.

Szangaj 18 lipca. Tutejsza kolonia francuska była widownią groźnych zaburzeń. Chińczycy rzucili się na marynarzy francuskich, którzy ze względów zdrowotnych mieli zamknąć cmentarz chiński. Marynarze dali ognia i zabili kilkunastu Chińczyków.

Paryż 18 lipca. U niejakiego Ducasse'a, przyjaciela Picquarta, zarządzono wczoraj rewizyę i zabrano rozmaite kompromitujące papiery.

Dziennik *Soir* donosi, że w łonie gabinetu istnieje przesilenie. Minister wojny Cavaignac oburzony jest podobno do żywego tem, że z łona jego własnego stronnictwa wychodzą ataki dziennikarskie przeciw niemu za stanowisko zajęte przezeń w sprawie Dreyfussa. Chorobę Brissona uważa *Soir* za wstęp do dymisyi. Zdaniem tego pisma atoli nie zanosi się na powrót Meline'a do rządów, lecz chyba tylko na rekonstrukcyę radykalnego gabinetu.

Paryż 18 lipca. W sferach poselskich zapewniają, że Cavaignac istotnie zagroził swą dymisyą na wypadek, jeżeli bezzwłocznie nie ustaną ataki prasy radykalnej przeciw niemu, które to ataki, zdaniem jego, inspirują niektórzy ministrowie.

Trarieux w liście, ogłoszonym w dzienniku *Intransigeant*, w którym ponownie protestuje przeciw sądowemu ściganiu podpułkownika Picquarta, dowodzi, że z jurydycznego stanowiska jest to niemożliwe, ażeby Picquart, który już za karę został spensyonowany, w tej samej sprawie poddany został jeszcze innemu procederowi sądowemu.

Niektóre pisma sądzą, że proces Zoli, który rozpoczął się dziś w Wersalu, i tym razem nie skończy się. Podobno adwokat Zoli, Labori, postawi wniosek, aby rozprawę odroczono aż do ukończenia śledztwa przeciw Esterhazy'emu.

Petersburg 18 lipca. Sąd wojenny w Andidżanie, wydał wyrok na uczestników buntu w Ferganie. Czterdziestu pięciu skazano na śmierć, jednego młodzieniaszka na dożywotnie więzienie, a dwóch uwolniono. Car w drodze łaski zamienił 32 skazańcom karę śmierci na 20 letnie roboty katorżne. Egzekucya pozostałych 13 odbędzie się w tym tygodniu.

Magdeburg 18 lipca. Wczoraj w nocy wybuchł wielki pożar w zakładach przemysłowych Franciszka Kruppa. Znaczna część budynków zgorzała.

Krumau 18 lipca (w Czechach). Namiestnik hr. Coudenhove udał się wczoraj do miejscowości Höritz, (słynnej z urządzanych tam podobnie jak w Oberammergau przedstawień pasyjnych). Przyjmowano go wspaniale, całą wieś udekorowano i wystawiono łuk tryumfalny.

Przyjechali dnia 18 lipca. F. hr. Bogusz z Rzemienia. J. A. Stenzel z Budapesztu. A. Głowacki z Warszawy. F. Weissberg z Bukaczowiec. A. Briefer z Przemyśla. J. Lisowski z Rohatyna. Dr. S. Surzycki z Grojca. L. Grabski z Gniezna. J. Zaleska i St. Grodowski z Podola ros. J. Ergert z Gablonz. M. Erdheim i S. Messing z Podwołoczysk. H. Goldlust z Czerniowiec.

Przyjechali dnia 18 lipca. Albert hr. Starzeński z Dąbrówki. Miecz. hr. Borkowski z Mielnicy. Jenerał Molnar z Pragi. Roman Ochocki z Zarwanicy. Miecz. Zakrzewski z Wiktorowa. Eug. v. Wurzian z Peterswaldu. Marya hr. Drohojowska z Wiednia. Zygm. Hendel z Krakowa. Aug. Gorayski z Moderówki. Eust. Zagórski z Kołodziejówki. Oct. Ułaszyn z Polski.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 18 lipca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 211.00 do 214.00. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 290.00 do 293.00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 375.— do 385.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 255.— do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat a 10 proc. prem. 110.20 do 110.90 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.30 do 101.00, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 101.00 do 101.70, Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.50 do 98.20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.70 do 98·40, 4 proc. los. w 56 lat 96.30 do 97.00.

Obligi za 100 zł. Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98·20—98.90, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.40 do —·— Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97.50 do —.—, Pożyczki kraj. 6 proc. 1 4 00 do.—.—. 4 proc. z 1893 r. 98.00 do 98.70, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 96.20 do 96.90.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.49 do 9.59. Półimperyał 9.47 do 9.57. Rubel rosyjski papierowy 126·40 do 127·40. 100 marek niemieckich 58.50 do 59.00.

29)

O własnych siłach

POWIEŚĆ

przez

D. GERARD.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Obecnie piękność jej, opromieniona jakąś wewnętrzną radością, która dziwną słodyczą pokrywała jej oblicze i jakąś miękkość nadawała jej ruchom, rozkwitła w całej pełni i teraz dopiero cieszyła się Elwira swoją urodą.

— Cieszę się z tego, że jestem piękną — mówiła do siebie z uśmiechem, przeglądając się w mętnem lusterku. — Cieszę się, żem młoda.

I oglądała swoje kształtne, rasowe, spracowane ręce, rozmyślając nad sposobem doprowadzenia ich do zupełnej białości. Bezwiednie rozluźniała węzeł czarnej jedwabnej chustki, aby uwidocznić bujne, lśniące bogactwo przepysznych włosów, falujących nad czołem. Nie wstydziła się już teraz swojej urody i nie kryła jej zazdrośnie przed okiem ludzkiem. Niewinna zalotność kobieca brała w niej górę nad męzkim hartem.

Chwilami ogarniał ją przestrach, bo czuła, na jak kruchych podstawach zbudowane jest jej nowo zrodzone szczęście, ale otrząsała się szybko z przelotnego niepokoju. Słowa oberżystki wracały jej często na pamięć, ponieważ to, czego ani nazwać, ani jasno określić nie mogła słowami, „musiało się stać", tak jak kamień wrzucony do wody musi iść na spód, więc na cóż się zdało walczyć z przeznaczeniem? Porwana prądem młodzieńczego uczucia, tonęła w słodkich marzeniach, które powoli pochłaniały całą jej istotę.

Upłynęły trzy krótkie, rozkoszne jak sen tygodnie, a sir Andrzej bawił dotąd w dolinie. Zdawał się zapominać, że po za temi górami istnieje inny świat. Czy i on dał się porwać tajemniczemu prądowi marzeń? Trudno się było dorozumieć. Oberżystka, która pilnie co rano badała jego twarz, kiedy wyruszał do Marienhofu i wieczorem, kiedy powracał stamtąd, sama nie wiedziała już, co o tem myśleć. Widziała tylu ludzi, starających się o dziewczęta, ale ten wyglądał jakoś inaczej od tamtych. Nie można było przewidzieć, jak się to wszystko skończy. Graf nie wyglądał na kochanka pewnego z góry powodzenia, a nie miał znów miny zrozpaczonego. A może on też nie kochał się wcale w kuzynce? — pytała sama siebie niekiedy stara kobieta. Zdradzał chwilami niepokój jakiś i gorączkowość, świadczącą o podrażnieniu serca.

Dwa razy spakował już swój kuferek, jakby miał odjeżdżać, i dwa razy rozpakował go napowrót. Gospodyni miała już zapewnione nowe ławki, a teraz zaczęła marzyć o kupnie nowych kufli do piwa. Niewiadomo, jak długo ten stan rzeczy mógł potrwać, bo Graf był jak lunatyk poruszający się we śnie i bezwiednie popychany naprzód jakąś niewidzialną siłą, która zdawała się obezwładniać jego wolę. —

Ale zapisane było w gwiazdach, że oberżystka nie będzie miała swoich kufli do piwa. W naturze wszech rzeczy tkwi dążenie do przerwy, a przypadek odgrywa wielką rolę w zdarzeniach ludzkich.

ROZDZIAŁ XIV.

Pewnego dnia pod sam koniec września, Elwira i Andrzej znaleźli się w głębi lasu, dokąd zaszli, sami nie wiedząc jak i kiedy, dopiero krwawe barwy zachodu, widniejące na dalekim nieboskłonie, ostrzegły ich, że czas pomyśleć o powrocie do domu. Był to dzień naprzemian dżdżysty i słoneczny, dzień uśmiechów przeplatanych łzami i nawet o tej zachodniej porze wesele ze smutkiem zdawało się walczyć o lepsze i niewiadomo było, co noc zapadająca powoli przyniesie: słotę czy pogodę?

Elwira drgnęła nieznacznie, rozglądając się dokoła siebie; nieznała ona tej części lasu; nigdy w swoich przechadzkach nie zabłądzili tak daleko. Wyszli z domu po południu, zwabieni zwodniczym blaskiem słońca, i szli odtąd bez przerwy, chroniąc się w gąszczu zielonych świerków i jodeł przed przelotnym deszczem i tak się zatopili w rozmowie, że żadne z nich nie zwracało uwagi na kierunek ścieżek, krzyżujących się w borze.

— Chcę cię prosić, abyś mi przyrzekł jedną rzecz — odezwała się Elwira.

— Mów!

— Przyrzeknij mi, że za pierwszym razem, kiedy będziesz w Londynie, zwiedzisz Ciemną ulicę.

— To się na nic nie zda...

— Być może, ale niemniej pragnę, abyś mi to obiecał. Zdaje mi się, że cię to uczyni szczęśliwszym, jeżeli choć popróbujesz...

— Dlaczegoż miałabyś dbać o to, czy jestem szczęśliwszym lub nie? — spytał jakimś twardym, nienaturalnym głosem.

Ona zdziwiona popatrzyła na niego.

— Czy przyrzekasz?

— Tak — odparł sir Andrzej i zaczął mówić o czem innem.

Tym sposobem zaszli niepostrzeżenie w głąb gęstwiny leśnej, aż ukośne promienie słońca, przedzierające się przez szczyty drzew i świecące prosto w zadumane oczy Elwiry, przywołały ich do poczucia rzeczywistości.

Gdzie oni się znajdowali? Elwira nie mogła rozeznać miejsca. Jedna jodła, szumiąca cicho, podobna była do drugiej, a otoczeni dokoła czarnemi olbrzymami lasu, nie wiedzieli, czy Glockenau znajduje się w pobliżu, czy też gdzieś daleko. Gdyby choć dotarli do jakiej polanki lub do otwartej przestrzeni, skądby mogli zoryentować się w położeniu. Na prawo drzewa zdawały się rzednieć, a szybki spadek gruntu kazał się domyślać, że w tem miejscu kończy się las. Udali się więc w tę stronę i wkrótce stanęli nad brzegiem głębokiej kotliny, która stromo zapadała się w ziemię u ich stóp.

— Wszak to są domy? — odezwała się Elwira, rozglądając się po ciemnych, granitowych łomach, zagnieżdżonych w dzikiej, bujnie rosnącej zieloności, które z oddalenia, w szarem świetle szybko zapadającego mroku, mogły być wzięte za chaty wieśniacze. Wszakże to są mchem porosłe dachy, z których sine wieńce dymu unoszą się w powietrze? Ten słaniający się łan zieleni jakże był podobny do zagonów dojrzewającej pszenicy, tylko że pszenica dawno już była uprzątnięta z pola o tej porze roku, a te przebłyski bieli pod konarami rozpostartych jak baldachimy drzew przypominały bieliznę, suszącą się na dworze w pogodny dzień jesienny. Brakło tylko szczekania psa, aby złudzenie było zupełnem. Wszystko dokoła miało taki fantastyczny, mglisty wygląd, że trzeba było dobrze natężyć wzrok, aby rozproszyć tę ułudę.

Mniemane chaty wieśniacze były to odłamy olbrzymich skał, jakby ręką Tytanów posiane w przestrzeni; dym, okalający je, był zimnym oparem, kłębiącym się z ziemi i ścielącym nisko po wzgórzu; pszenica była przerosłym chwastem, kładącym się pochyłą ławicą więdnącej zieleni, a przebłyski białości pniami brzóz, widniejącemi wśród okalającej czerni. Dolina była pustą i milczącą, jak głaz. Dokoła nie było śladu ludzkiej istoty.

— Zabłądziliśmy, to rzecz pewna — rzekła Elwira zamyślona.

W tejże chwili purpurowe blaski zachodu znikły nagle z widnokręgu, zasępione czarną płachtą nadciągającej chmury i cichy plusk deszczu ozwał się na sklepieniu zwartych u góry konarów drzew. Kwestya dżdżystej lub pogodnej nocy została stanowczo rozstrzygniętą. Nie było chwili czasu do stracenia.

Żwawym krokiem ruszyli naprzód i minąwszy wąwóz, zagłębili się znów w lesie, chcąc przeciąć drogę; ale tutaj nowe wątpliwości ogarnęły Elwirę. Raz po raz natrafiali na jakąś małą polankę bez wyjścia, i mroki nieprzebitej czerni leśnej pochłaniały ich nanowo. Wspinali się na wzgórza w mniemaniu, że stamtąd rozejrzą się lepiej po okolicy, ale pagórki piętrzyły się jedne nad drugiemi, niby wzdęte fale, i zdawało się, że nigdy już nie będzie im końca.

Deszcz tymczasem padał nieprzerwaną strugą; grunt wilgotny i przemokły stawał się coraz bardziej śliskim, a wzmagające się mroki z każdą chwilą zwiększały trudności położenia.

Sir Andrzej od czasu do czasu pocierał zapałkę, aby spojrzeć na zegarek. Siódma, ósma, dziewiąta godzina, a gąszcz nie zaczynał rzednieć i lasowi jak nie było tak nie było końca. Głuche milczenie oddawna zapadło między nimi przerywane tylko niekiedy jakąś krótką uwagą sir Nevylla. Szedł on obok kuzynki, która tylko co potknęła się o pień drzewa i o mało nie upadła.

— Weź moje ramię — rzekł do niej.

— Dziękuję ci — odparła. — Mogę iść sama. Jestem dość silna.

— Być może, ale ja jestem silniejszy.

I ująwszy jej rękę, przeciągnął ją przez swoje ramię; potem ułamał gałąź drzewa, obciął mniejsze pędy i podał jej jako podporę do drugiej ręki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki [illegible]. Drukarnia [illegible]